



"Ossolineum"
Biblioteka
Poznań ul. Lwowska 5

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 30 sierpnia 1947 r.

Nr 34 (113)

Stanisław Śreniowski

REWIZJONIZM HISTORYCZNY (II)

„Jak się postawi włościanin wobec historii, kiedy ze swego punktu widzenia zaczął ją wertować” — takim zapytaniem ostrzegał przed laty szlachecki historyograf polską historyk-polityk, konserwatyista, Michał Bobrzyński.

Nadszedł czas, w którym trwożna zapowiedź Bobrzyńskiego powinna się zacząć realizować. Warstwa, jaką reprezentował, znajdowała się wówczas w połowie drogi odwrotu, było to parę dopiero dziesiątków lat od uwłaszczenia w Galicji, jedno z najgorszych, z najgroźniejszych feudalnych uprawnień pańskich: prawo propinacji straszło jeszcze na wsi galicyjskiej — w pół wieku później stoimy wobec całkowitej likwidacji wielkiej własności pańskiej. Droga upadku społecznego dawnej warstwy panującej dopełnia się; chłopci stali się wyłącznymi gospodarzami wsi, a współgospodarzami kraju. Zjazd pisarzy chłopskich w pałacu rytwińskim, urządzony z inicjatywy redakcji tygodnika „Wies”, tygodnika wydawanego przez Związek Samopomocy Chłopskiej — stanowi symptom nowych czasów.

Jaką postawę — zapytacie — zajęła historiografia w stosunku do zagadnienia chłopskiego w obliczu tych gruntownych przemian ustroju społeczno-politycznego, jaki dokonał się w Polsce w ostatnich latach?

Niełatwo odpowiedzieć na to. Przypominam opinie — oficjalną niejako — redakcji „Kwartalnika Historycznego”, przytoczoną już w poprzednim artykule: „dziś w wyższym stopniu niż dawniej interesuje chłop jako podmiot dziejów”. Co oznacza właściwie ta opinia, czy jest już ona przez historyków realizowana, czy wreszcie odpowiada potrzebom nowych warunków?

W tym oficjalnym programie historiografii naszej widzę poważne niebezpieczeństwo dla naukowej historii chłopów w Polsce. Niebezpieczeństwo zweksławiania ich historii na gościniec zupełnie fałszywy.

Chłop jako podmiot dziejów? Historiografia jest instrumentem precyzyjnym — póki stanowi instrument naukowy. Wpływ współczesności na nią nie zawsze daje zdrowe, społecznie pożądane następstwa, odbłaski współczesności, niby rozświetlające od nowa przeszłość i otwierające ku niej wstecz miłe rzekomo współczesnemu oku perspektywy — mogą stwarzać efektowne iluzje, ale dezorganizują poprawne warunki widzenia.

Skontrolujmy to na odcinku sprawy chłopskiej:

Co rozumieć przez podmiot dziejów? Sugestii oderwanych od rzeczywistego ustroju może być wiele. Społecznie podmiotem dziejów staje się chłop dzisiaj dopiero i cała wyrazistość rewolucyjności tej nowej sytuacji zasadza się na tym, że dotąd — był chłop społecznie przedmiotem dziejów.

Gdzież zatem miejsce na owe ułudne perspektywy wstecz, w dzieje, jakie szanse i jaki cel tego doszukiwania się podmiotowości roli chłopskiej w przeszłości?

U tych wszystkich pseudorewizjonistów, zobowiązanych, jak im się zdaje, i upoważnionych przez współczesną sytuację społeczno-polityczną, do odkrywania w dziejach elementów, które rzekomo dobrze przystają do nowej, dzisiejszej struktury, jej haseł i pojęć — u tych wszystkich działa, jak mi się zdaje, przemożna siła tradycjonalizmu, skłaniającego ich do ulepiania wokół niego w e g o przydatnych, z pozoru, dawnych treści, które jakoby nadają mu ciężaru, wiążą z życiem, urealniają.

W rzeczywistości odrealniają, grożą deformowaniem nowych wartości, bałamuca. Można i tak: chłop zawsze był tym, który uprawiał ziemię, tym, który własną pracą przysparzał wartości, a zatem... podmiotem dziejów. Wtedy linia dziejowa jest

dostatecznie długa, zmieniałaby się tylko „forma” społeczna, istotna ich rola pozostałaby właściwie ta sama. Co za sukces tradycjonalistów!

I podobnie można ułożyć sprawę w zakresie historii wojskowości, a nie nie stoi na przeszkodzie, aby powtórzyć ten zabieg i w zakresie historii skarbowości. Stąd krok, aby podobnie traktować całą machinę państwa szlacheckiego — skoro żyli w nim i „działali” przeważnie chłopci. Ten absurdalny pomysł podsuwam dla otrzeźwienia tych, którzy dają się zasugerować owym pseudopostępowym rewizjonizmem.

W istocie jest on szkodliwy i nakowo i społecznie — choćby wbrew najlepszym intencjom jego adherentów, jest tym bardziej szkodliwy, że pozory społeczne przemawiają rzekomo na jego korzyść.

Obraz historyczny w takiej rewizji traci te proporcje społeczne, które dla oczu współczesnych dają mu najwięcej plastyki; formuła „chłop — podmiot dziejów” rwie całą sieć struktury minionej, a historiografia z pod znaku rewizji wystawia przyjemne dla naszych społecznych uczuć widowisko chłopskie, nowych „Krakowiaków i goralów”, gdzie wszystko składnie gra, ale „wiewu historii” tam nie ma.

Jeżeli idzie o rolę społeczną takich widowsk, to pozytywną, pobudzającą odgrywały one w sobie właściwym czasie: zbliżały ku „ludowi”, rozbudzały żywsze uczucia ku chacie wiejskiej — stanowiły wyraz i romantyzmu i humanitaryzmu, wynikały z mieszaniny prądów społecznych, były pogłosem w procesie rozpadu dawnych klas władczych, a zarazem narzędziem ujarzmiania przez nie mas ludowych w nowy sposób, przez skokietowanie ich, przystrojenie w błazeński kolorowy kostium, zdeorientowanie społeczne.

Współczesny pseudorewizjonizm historyczny może spełniać wbrew intencjom historyków podobnie dwoistą rolę społeczną.

Stawia on swoista, jeszcze jedną próbę „uszlachcenia” chłopów; mówi się o ich „wkładzie” historycznym, o ich zasługach, o ich udziale czynnym w dziejach; przyznaje im się miejsce obok szlachty, siłą rzeczy mniej godne, pośredniejsze, ale z tą moralną szansą, że nie stawia im się już kwalifikacyjnych trudności chociażby i do równania szlachcie. Od nich samych zależy miejsce, które im historia wyznaczy — tak należałoby dopowiedzieć ten ideologiczny tok myśli. Wielkość zasługi — i sąd historii. Zapominają tylko, że już wszystkim dokonało się, oraz że ten sąd historii, który mają na myśli, drepce niezdarnie za „sądem” dziejów i — mimo pozornych wysiłków, nie potrafi się wydostać z kręgu jego czadu.

Dzieje „wyznaczyły” chłopom — jako warstwie — bardzo wyraźnie i stanowczo określone miejsce w ustroju społecznym; „zasługi” chłopstwa mogły się dźbiać tylko w obrębie tej społecznej pozycji, która im w systemie przysługiwała; społeczna pozycja otwierała i ograniczała wachlarz możliwych ról społecznych członkom tej warstwy, wachlarz możliwych dla nich form aktywności, decydując zarazem „arbitralnie” o quale i quantum koniecznej, obowiązkowej aktywności (czyt. pracy) w tej klasie społecznej. I nie naodwrot: w wymiarach społecznych, ustrojowych (w perspektywie wielkich liczb) wysiłek indywidualny, „zasługa” członków danej warstwy nie miała wpływu na pozycję społeczną tej warstwy.

Dzieje toczą się nie podług zasad moralności indywidualnej, lecz stosownie do reguł rozwoju społecznego i „poprawianie” dziejów przez historyków rewizjonistów, próbujących zreformować proporcje przeszłości stosownie do „zasług” poszczególnych warstw (z zastosowaniem kryteriów wartości rzekomo dzisiejszych, ale tylko w charakterze subsydiarnym wobec tamtych stanowych kryteriów dziejowych) — żadnego ani społecznie, ani naukowo użytecznego celu, moim zdaniem, nie osiągnie.

Ustrój historyczny, ustrój, który istniał w przeszłości nie nadaje się do przemalowywania go; przeciwnie, z perspektywy ustroju społecznego nam, powinien zyskać na ostrości i tym silniej kontrastować w obrazie przemian dziejowych. Uwspółcześnienie historiografii na innych natomiast musi się dokonać drogą niż przez próby „uszlachcenia” chłopów; musi się mianowicie dokonać w formie uwspółcześnienia „języka naukowego” historiografii, w formie „transkrypcji” pojęć o przebrzmiałej już ważności na pojęcia dzisiaj żywotne, od nowa przeorania materiału dziejowego przy pomocy współczesnej wiedzy społecznej. I wtedy nie sprawa „wkładu” i nie sprawa zasług, a sprawa struktury, sprawa układu sił społecznych, sprawa warunków rozwojowych będą pasjonowały historyka.

Powojenne lata historiografii naszej nie wykazywały szczególnego ożywienia wobec dziejów chłopskich.

Publicystyka jest w tej materii bezradna, nie ma skąd czerpać, z konieczności przetrwania wiedzy tradycyjnej, próbuje ją „włączyć” w ton polityczny współczesny, ulega mitologizmowi, idzie za fałszywym rewizjonizmem i również „uszlachca” chłopów. Na tym tle wyróżnia się poważny trud pisarski J. A. Króla, który na łamach „Wsi” szuka dróg ku nowemu obrazowi dziejów chłopów w Polsce, jego dzieł najnowszych. Niektóre fragmenty tego pisarstwa znajdują się już na pograniczu publicystyki i naukowej konstrukcji historycznej.

U historyków z zawodu można zanotować kilka zaledwie publikacji z dziejów chłopskich.

Udział chłopów w wojsku Rzeczypospolitej (szlacheckiej) i w wojnach prowadzonych przez nią — jako z jednej strony „wkład” chłopów w dzieje, „zasługa” chłopów, a zarazem jako temat wojskowy, a więc tak aktualny przez skojarzenia z ostatnią wojną, jest przedmiotem kilku prac historycznych wydanych po wojnie. Jedną z nich to zarys prof. St. Ingłota, przedstawiający, głównie na podstawie dotychczasowej literatury historycznej udział chłopów „w obronie Rzeczypospolitej” w całym przebiegu dziejowym, od czasu pierwszych Piastów do powstania styczniowego włącznie. Niestety, literatura tego przedmiotu nie zawiera zbyt wartościowego materiału, ma na uwadze głównie przepisy prawne, zmierzające do włączenia chłopów w organizację obrony, natomiast sprawa rzeczywistego udziału chłopów w wojsku i charakteru tego udziału wymykała się naogół z pod jej obserwacji; przekazy źródłowe w tym zakresie są wielce zawodne.

Drugą pozycją tego typu jest książka S. Szczotki o udziale chłopów w walce z „potopem”, mająca pierwsze wydanie już przed wojną. Są to szkice (obecnie pomnożone pod efektowniejszym tytułem: Chłopi obrońcami niepodległości Polski w okresie potopu), mające wykazać patriotyzm chłopów w XVII w.

Zarzucono Szczotce zbagatelizowanie w tych szkicach zagadnień religijnych tego czasu i wiążących się z nimi społecznych (Maria Dąbrowska). Autora poniosła znów idea „wkładu” i zasług chłopskich: w ówczesnej strukturze społecznej należałoby niewątpliwie krytycznie ustosunkować się do takich spraw, jak rzekomo spontaniczne zrywy chłopów w obronie państwa i ułtarze w historiografii naszej przeciwstawianie patriotyzmu chłopów w tym czasie — haniebnej postawie wojsk szlacheckich. Trzeba by postawić zasadnicze dla całej tej sprawy pytanie: czym narzędziem byli chłopci w tych walkach. Odpowiedź na nie mogłaby prowadzić m. in. do skorygowania sądu o charakterze inspiracji jakiejś uległości chłopów w tym kierunku — Szczotka wiele miejsca poświęca agitacji kleru katolickiego.

Przyczynkiem do sprawy udziału chłopów w narodowych akcjach zbrojnych (a

zarazem do sprawy Insurekcji kościuszkowskiej) jest wreszcie broszurka J. Pachoskiego o Bartoszu Głowackim. W szczególności wysunięta została wątpliwość, czy był on rzeczywiście nobilitowany przez Kościuszkę, jak mówi tradycja. W dyskusji na ten temat wziął udział również doc. B. Leśnodorski. Nobilitacja Bartosa jest, jak się zdaje, wytworem legendy, mitologizującej insurekcję narodową także w kierunku jej walorów socjalnych.

Wiele szczęścia niż inne sprawy dziejów chłopskich miał Uniwersał polaniecki. Akademia Umiejętności ogłosiła drukiem odczyt prof. J. Rutkowskiego pt. „Uniwersał polaniecki w świetle europejskich reform rolnych XVIII w.”, w którym Rutkowski akcentuje rzekomy radykalizm Uniwersału oraz widzi w nim wszechstronność, w niektórych zaś punktach grubość reformy całego wzajemnego stosunku chłopów i pań. Porównując Uniwersał z reformami współczesnymi mu w innych państwach, dochodzi do wniosku, że zajmuje on porównywalne miejsce wśród nich i że góruje nad nim tylko ustawodawstwo Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Rutkowski zwraca uwagę na rolę polityczną Uniwersału, która „trwa po dziś dzień” (w przeciwieństwie do szybko skończonych gospodarczych). „Uniwersał polaniecki jest jedyną świetlaną nićią łączącą dzieje dawnej Rzeczypospolitej z dziejami nowoczesnej wsi polskiej” i to przeświadczenie, nie tylko Rutkowskiego, raczej powszechne, tłumaczy zainteresowanie jakie on wzbudza.

Przeciwko temu tradycyjnemu pogładowi (o genealogii oczywiście bardzo dawnej, bo jeszcze szlacheckiej) wystąpiłem na łamach miesięcznika „Państwo i Prawo”, dowodząc, że pierwotny tekst Uniwersału nie zawierał prawa wolnoпресиєdności chłopów i że dopiero pod wpływem rewolucji społecznej w Warszawie uzupełniono w ten sposób tekst Uniwersału. Poza tym starałem się przedstawić funkcję społeczną Uniwersału polanieckiego w rzeczywistych warunkach politycznych i społecznych Insurekcji, pamiętając o tym, że była ona powstaniem narodowym szlacheckim, wobec czego, ideologia powstańcza, jakkolwiek postępową, nie mogła zawierać więcej, niż to było potrzebne dla sprawy szlacheckiej, w opinii postępowego odłamu tej warstwy społecznej.

Zwróciłem uwagę — nie pierwszy zresztą — na te przepisy Uniwersału, które miały służyć utwierdzeniu i zabezpieczeniu ustroju szlacheckiego, poddaństwa i robocizny chłopskiej na folwarkach — przepisy wyrugowane ze świadomości nie tylko ogółu, ale i historyków przez mit rewolucyjności, jaki w naszej poszlacheckiej tradycji tak uporczywie towarzyszy Uniwersałowi.

Rozprawka ta wywołała dosyć znaczne echo, w szczególności pogląd mój zwałczal w obronie tradycji historycznej prof. A. Vetulani w Towarzystwie Historycznym w Krakowie. Dyskusji na ten temat użył jeszcze miejsca łamy „Państwa i Prawa”.

Na tle wątpliwej i nieciekawej na ogół produkcji historycznej w zakresie dziejów chłopów wyróżnia się świetne studium N. Assorodobraj o początkach klasy robotniczej w Polsce, dokładniej o problemie rąk roboczych w przemyśle polskim epoki stanisławowskiej. Jest to studium historyczne i socjologiczne, studium zagadnienia niezmiernie ważnego w dziejach chłopów, a dotąd prawie że niezauważonego przez historiografię naszą — przechodzenia luźnego społecznie elementu, głównie chłopów z systemu poddaństwa, na pozycję robotników tworzącego się dopiero przemysłu.

Dla sprawy przeszłości chłopskiej i roli chłopów w systemie kultury polskiej XIX i XX w. pośrednie ale doniosłe znaczenie ma rewelacyjne wręcz studium J. Chałasińskiego o społecznej genealogii inteligencji polskiej. Wystarczy powiązać to nowe stu-

*) Część I: Historiografia polska a dzieje chłopów, „Wies” Nr 33 (113).

dium Chałasińskiego z jego pomnikowym „Młodym pokoleniem chłopów”. Równoważniki minionego systemu społecznego — w dziedzinie organizacji życia i kultury znalazły się tutaj pod działaniem ostrej krytycznej analizy socjologicznej, która zarazem stanowi ważną rozprawę polityczno-społeczną przeciwko „pańskości” pod jej współczesnymi zamaskowanymi formami. Chłop i jego sprawa — a w przedłużeniu sprawa narodu ogarniającego przede wszystkim i chłopów — to zaplecze myślowe wnikliwych rozważań Chałasińskiego.

Problematykę rozwinął przez Chałasińskiego w odniesieniu do inteligencji szlacheckiej pochodzenia próbował ostatnio J. A. Król zastosować do inteligencji chłopskiej względnie pochodzenia chłopskiego: sprawy te nie są jeszcze dość jasne.

O patrzaniu na Kilińskich i Głowackich wciąż jeszcze z okien szlacheckiego dworku zamieściłem nieco uwag w artykule pt. „Insurekcja” — z okazji wystawienia „Kra-kowiaków i Górali” w teatrze łódzkim.

Prof. Chałasiński zorganizował przy Polskim Instytucie Socjologicznym Studium Problemów Chłopskich i Robotniczych; w programie tego studium znalazły się i tematy z historii chłopów; doc. B. Baranowski prowadził wykład o ruchach społecznych chłopów w XVII w., sam starałem się nakreślić linie syntetyczne dziejów chłopów w Polsce.

Ruch ludowy w Polsce został przedstawiony w 2 tomkach przez T. Reka. Jest to opracowanie jeszcze surowe, ale przynoszące sporo cennego materiału. Miałem okazję słyszeć fragment interesującego wykładu St. Ignara na jednym z kursów nauczycielskich na ten sam temat; obaj autorowie łączą z zainteresowaniem historię własne doświadczenia polityczne.

Wiele należałoby się spodziewać w zakresie historii chłopów po miesięczniku „Wieś i Państwo” wydawanym przez Bu-jaka, Pigonia, Ingłota i Szczotkę, a więc przez czterech historyków chłopskiego pochodzenia. Pismo to jednakże nie potrafiło wyjść z tradycyjnego toru piśmiennictwa historycznego polskiego. Główną pozycję stanowi w nim przyznanie, bez odnowienia postaw myślowych; skromny jest dział recenzji; nie stamtąd wyjdzie nowa koncepcja historyczna.

Pigoń ogłosił pamiętnik swego niezwykłego społecznego życia, pamiętnik drogi awansu społecznego chłopca: „Z Komborni w świat” — ale tam rewolucyjność, wieś i postawy chłopskie są ugięte, wręcznięte już w jarzmo kultury pańsko-narodowej, mówi się o sprawach „honoru” chłopca, którym ma on dościsnąć inne stany — szczęśliwsze społecznie, wyższe. Jeszcze jedna droga do uszlachcenia chłopów! Ale wiele w tej książce doświadczeń bardzo ciekawych, a zmiany cywilizacyjne w Komborni w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat, zasługują na baczność uwagę historyków.

A teraz sprawa syntezy historycznej. Państwowy Instytut Wydawniczy wypuścił drukiem nowe wydanie pomnikowej „Historii chłopów polskich” pióra Al. Świętochowskiego. Na razie tom I — przed-rozbiorowy.

Reedycja taka ma swoją wymowę. „Historia chłopów” Świętochowskiego należy do epoki minionej i już należało o niej mówić w poprzedniej części tego szkicu. Właśnie z uwagi na jej nowe, powojenne wydanie i jego rolę — zachowałem tę pozycję do szpalt obecnych.

Autor przedmowy do nowego wydania, prof. U. W. St. Arnold tak m. in. charakteryzuje to dzieło: „...stosunek Świętochowskiego do problemu chłopskiego ma wiele cech epoki, kiedy kształtował się światopogląd autora, jego nastawienie w stosunku do zjawisk społecznych. Jak wiadomo, Świętochowski był związany ściśle z epoką pozytywizmu i liberalizmu; stąd też w jego ujęciu nie spotykamy momentów, któreby nas dzisiaj interesowały, nie spotykamy przede wszystkim należytego oświetlenia zagadnień gospodarczych w poszczególnych epokach, zmian zachodzących w rozwoju historycznym w stosunkach włościańskich w związku z ogólnymi przemianami gospodarczymi, co w szczególności daje się zauważyć przy omawianiu przez autora w XVII i XVIII. Stosunek Świętochowskiego do chłopów jest stosunkiem przedstawiciela warstwy szlacheckiej do niższej klasy społecznej, która ulegała emancypacji i która zajęła nową pozycję w społeczeństwie polskim. Jest to stosunek raczej przedstawiciela liberalizmu niż przedstawiciela demokracji”.

Oto słuszną niewątpliwie oceną dzieła, które w warunkach społecznych w jakich doszło do jego obecnej reedycji, nabiera charakteru reprezentacyjnego. Bywają takie nieporozumienia społeczne. Dzieło Świętochowskiego okupuje je wielkością ducha swego autora.

To nie jest wprawdzie dzieło historyka, historyka zawodowego, ale musiało ono zastąpić syntezę historyczną godną tego imienia i rolę tę na swój sposób spełniło

zupełnie dobrze. Była to w dwudziestych i trzydziestych latach naszego stulecia wielka opowieść o chłopie, gorzka i pasjonująca, opowieść którą musiał czytać wychowanek kultury szlacheckiej — inteligent miejski, opowieść w którą wczytywała się żarliwie wieś chłopska. Mimo trafnych zastrzeżeń St. Arnolda, „Historia chłopów” Świętochowskiego była wielkim czynem politycznym, głosem odwagi społecznej, wołaniem — wprawdzie tylko humanitarysty, ale wołania takie znajdują czasem odzew w pogłosach rewolucji.

Wystarczy zestawzić te dwie „Historie” pisane nie przez historyków, „Historię włościan” — małego polityka reakcyjnego, Marylskiego i „Historię chłopów” — wielkiego społecznika Świętochowskiego. Olbrzym i karze! „Apostoł prawdy” — jak miał odwagę sam siebie nazwać — i historyk z przerwania, historyk — palestrant, próbujący przed trybunałem dziejów wytargować, wybronić te ostatki pańskiego ustroju, w których jeszcze ciągle „włościanin” utrzymywany był na dalekiej wieży socjalnej z dala od „demokratycznego” już formalnie dworu.

„Historia chłopów” Świętochowskiego uderzała całym patosem i pasją oburzenia w ten święty bezzachowawczy krzywdy — od tej strony, gdzie współcześnie kombinowano właśnie możliwość narodowej zgody — od strony historii.

„Historia chłopów” — ile śmiałości było już w tej nazwie! Chłopi! Imię pełne wzgardy, imię w którym skondensowane

Michał Krasocki

MIASTA BĘDĄ CHŁOPSKIE

Reforma rolna została w zasadzie zakończona. Nie ma wolnej ziemi dla chłopca. Pewne niezbędne jeszcze korektywy w zakresie struktury rolnej nie mogą już zwiększyć chłonności ludności wsi. Można nawet spodziewać się procesu odwrotnego: w miarę racjonalizacji metod pracy i większego niż dotychczas wykorzystania pracy maszyn, chłonność ta zmaleje, aczkolwiek w nieznaczny stopień i w bardzo powolnym tempie. Wyrazem tego poglądu są przewidywane przez Narodowy Plan Gospodarczy liczby, ilustrujące kształtowanie się podaży i popytu na ludzką siłę roboczą. W odniesieniu do rolnictwa, liczby te wynoszą:

r. 1946	— 6.905 tys. ludzi	zawodowo czynnych
„ 1947	— 6.845 „	„
„ 1948	— 6.765 „	„
„ 1949	— 6.605 „	„

Przy najbardziej optymistycznej ocenie możliwości zatrudnienia w rolnictwie sytuację można określić następująco: wieś jako warsztat pracy w rolnictwie jest nasycona w zupełności ludzką siłą roboczą i dalszy wzrost jej chłonności jest niemożliwy. Chłopi będą stanowić warstwę ludności o stałej wielkości liczbowej. Ponieważ ludność kraju będzie wzrastać, przeto odsetek chłopów w stosunku do ogółu zaludnienia musi w przyszłości stale zmniejszać się.

W związku z tym wysuwa się drugi wniosek: cały przyrost naturalny wsi musi znaleźć utrzymanie w zawodach pozarolniczych, na równi z przyrostem pozostałych grup ludności. Słowem, cała nadwyżka urodzin nad zgonami w Polsce wyłączona jest z pracy na roli.

Przed rokiem 1915 emigracja z ziem polskich (w granicach z r. 1939) osiągała liczbę 500—600 tysięcy ludzi rocznie do krajów Europy i około 200 tysięcy do krajów zamorskich, łącznie wahała się zatem około liczby 3/4 miliona osób.

Wyniosło to więcej, niż największe zarejestrowane bezrobocie w Polsce. Emigracja do krajów Europy była prawie wyłącznie sezonowo-rolna. Emigracja zamorska, jakkolwiek tylko w drobnej części była emigracją osadniczą rolną, a w większości kierowała się do pracy typu miejsko-przemysłowego, to jednak przeważała w niej również element wiejski, chłopski.

Jeszcze jeden szczegół: emigracja przekazywała do kraju kwotę dochodzącą do pół miliarda złotych w złocie rocznie. Te dwa czynniki: ubytek nadwyżki ludności i stały dopływ gotówki kształtowały stosunki ludnościowe i gospodarcze wsi polskiej. Byliśmy krajem emigracyjnym w pełnym znaczeniu tego słowa.

Wieś istniała, wieś żyła — dzięki emigracji, udział w emigracji innych warstw ludności polskiej, a w szczególności inteligencji był nieproporcjonalnie niski. Wówczas, na długo przed pierwszą wojną światową, wyłonił się szereg rozległych planów i doktryn, idących w kierunku gruntownej przebudowy struktury społecznej i gospodarczej kraju i opartych na możliwościach, jakie mogła dać emigracja.

Ten „emigracyjny światopogląd” na najważniejsze zagadnienia ustrojowe wsi, jak kwestia przeludnienia, struktury rolnej itd. przetrwał u nas prawie do roku 1939, pomimo że już wkrótce po pierwszej wojnie światowej stosunki w zakresie spraw migracyjnych uległy przeobrażeniu. Przede wszystkim, czasy liberalizmu emigracyjnego i niczym niemal nie krępowanie wolności emigracji i imigracji przeszły do archiwum wspomnień. Racjonalizacja i coraz dalej postępująca mechanizacja produkcji w krajach emigracyjnych, wywołana niespotykanym w dziejach natężeniem produkcji w latach wojennych, spowodowała gruntowną zmianę stosunków zarobkowych w

były ich całe złe dzieje, imię, którego oni sami nie bali się uznać za godne dumy — to imię wchodziło wreszcie na karty historii; o nich opowiadała wielka księga cierpień i nienawiści, o nich opowiadał ten, którego słowom nie można było nie wierzyć.

Dzisiaj znajdujemy się już daleko za pozycjami ustrojowymi tymi, którym towarzyszyło dzieło Świętochowskiego. Ale nawyki myślowe niełatwo ustępują nowym sytuacjom. Nawet bardzo radykalni krytycy szlachetczyzny nie potrafili wypłatać się z pozycji myślowych zwalczonej przez siebie szlachetczyzny i posługują się — bezwiednie — tym samym ciągle jeszcze językiem.

Chociażby i prof. St. Arnold, którego już powyżej zacytowałem. Ten doskonały znawca dziejów społecznych i wytrawny krytyk historiografii polskiej, polemizując w słowie wstępnym do nowego wydania dzieła Świętochowskiego z poglądami szlachetczymi jej autora, tak pisze: „Wszystkie bez wyjątku momenty występujące w związku ze sprawą włościaństwa w XIX w. wskazują na to, że szlachta polska nie zrozumiała roli, jaką spełniała i spełniać była powinna w stosunku do włościaństwa i w chwilach najważniejszych nie potrafiła wznieść się nigdy ponad własne egoizmy stanowe i osobiste”.

Jaka to rola powinna była spełniać szlachta w stosunku do włościaństwa — zdumieni zapytujemy samych siebie — patrymonialną rolę przewodnictwa, ku cze-

mu? Ku reformom, przeciwko niej samej? Co właściwie oznacza zarzut egoizmu — stanowego i osobistego, kiedy przedmiotem naszych zainteresowań są sprawy ustroju społecznego!

Od strony ustroju, od strony społecznej struktury państwa starałem się przedstawić dzieje chłopów w Polsce w książce z serii prac Polskiego Instytutu Socjologicznego (Studium Problemów Chłopskich i Robotniczych). Ten nowy punkt widzenia przyniósł nowe rezultaty naukowe. Nie ma miejsca tutaj na autoreferat z tej pracy, wystarczy wspomnieć, że napisana została ona dlatego, ponieważ wiele tradycyjnych rozwiązań historiografii naszej w sprawie chłopów wymaga jeszcze rewizji naukowej; zamiarem moim m. in. było sprowokować dyskusję na tematy o zwornikowym dla historii chłopów znaczeniu.

Syntetyczną i organizacyjną w stosunku do całego materiału dziejowego rolę spełnia w tym przedmiocie oczywiście jego podział na okresy dziejowe: okres tworzenia się państwa szlacheckiego w ogóle, okres tworzenia się stanu chłopskiego i kształtowania się niewoli chłopskiej jako podstawowej instytucji tego ustroju — potem okres pełnej niewoli chłopskiej — i wreszcie okres rozkładu niewoli chłopskiej — to podział wynikający z określonych założeń myślowych i z analizy materiału historycznego przy zastosowaniu kryteriów, odpowiadających społecznemu charakterowi zagadnień, które stanowią przedmiot tej książki.

Stanisław Sreniowski

tych krajach, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych A. P. Stopniowo zamykają dla imigrantów swe wrota wszystkie kraje o klimacie, nadającym się dla Polaków. W konsekwencji możliwości wyjazdu istnieją tylko dla drobnych ilościowo grupk rzemieślników i kupców, oraz dla osadników rolnych, posiadających pewien kapitał (od 1000 dolarów wzwyż). Ta ostatnia kategoria nie mogła być jednak liczna.

W krajach Europy sytuacja była nieco lepsza dla człowieka wsi, chociaż i tu koniunktury były bardzo ograniczone. Dominującym typem stało się wychodźstwo sezonowe rolne, które np. w roku 1938 liczyło około 80.000 ludzi.

W sumie, emigracja z Polski spadła do 1/7 liczby emigrantów sprzed roku 1914. Oczywiście, nie należy przypuszczać, że na krajowym rynku pracy zarysowała się tak znaczna poprawa, że emigracja stała się mało atrakcyjna.

Z wyjątkiem lat 1928/29 w kraju istniało stale bezrobocie, które w r. 1934 doszło do 1.050.000 ludzi bezrobotnych w miastach, nie licząc całkowitego lub częściowego bezrobocia na wsi. Wraz z osobami biernymi zawodowo, liczba ludności miejskiej pozbawionej podstaw egzystencji, wynosiła okrago 2 miliony osób.

Miasta w dziesięciolecie 1921—1931 zaabsorbowały 1.285.000 ludności wiejskiej. Rzeczywisty przyrost naturalny ludności wiejskiej wyniósł w tymże okresie 4.147.000, a więc 21,5%, podczas gdy ludność miejska wzrosła wskutek przyrostu naturalnego tylko o 796.000 t. j. o 12%.

Wskutek tego, na wsi występowało rozdrabnianie gospodarstw i narastanie bezrolności i małorolnego proletariatu, który w trudnej walce o byt szukał wszelkich możliwych dróg ucieczki z ghetta wiejskiego. Ponieważ jednak miasta straciły swą dawną chłonność, przeto stały się one polem coraz bardziej zacietej walki o pracę między wsią a miastem.

W walce o chleb między wsią a miastem nie cała ludność wsi brała udział. W okresie dostępnym dla badań statystycznych, a więc między 1921 a 1931 rokiem (w latach tych odbyły się spisy ludności), przyrost ludności wiejskiej wyniósł 4.147.000 głów. Przyrost ten został rozłożony w ciągu wspomnianego dziesięciolecia przeważnie w następujący sposób:

- 1) miasta wchłonięły per saldo 1.285.000 osób,
- 2) powstało 119.000 gospodarstw samodzielnych, które dostarczyły utrzymania dla 595.000 osób,
- 3) powiększono obszar 360.000 gospodarstw chłopskich, co odpowiada mniej więcej stworzeniu możliwości istnienia dla takiejże ilości ludzi,
- 4) pracę i zarobek na emigracji czasowej i stałej znalazło 700.000 osób, przyczem około 450.000 ludności wiejskiej pozostało za granicą.

Łącznie wszystkie kierunki odpływu lub lokaty ludności wiejskiej zaabsorbowały stale lub częściowo w przybliżeniu około 3.600.000 osób. Ostatecznie, około 550.000 osób nie znalazło zatrudnienia, powiększając wiejską rezerwową armię pracy. Następny okres od końca 1931 roku do września 1939 jeszcze głębiej pogorszył sytuację wsi.

Prace nad reformą rolną, będąc ważnym czynnikiem odciążania wsi, uległy poważnej redukcji, zwięzła się pojemność miejskiego rynku pracy, oraz ograniczona została możliwość zarobkowania wewnątrz wsi w niedających się określić bliżej rozmiarach. Nieopłacalność produkcji zmusiła większe i mniejsze warsztaty rolne do zredukowania pracowników najemnych. Przede wszystkim jednak, saldo ruchu emigracyjnego stało się ujemne. W tym stanie

rzeczy zastała wieś polską druga wojna światowa. Z okresu międzywojennego można wysnuć jeden poważny wniosek. Kurczenie się możliwości migracyjnych wskazywało wyraźnie na to, że rozwiązanie sprawy bezrobocia i naprawy ustroju rolnego nie można było szukać poza granicami kraju.

Rok 1945 spowodował szereg zmian, zbyt dobrze wszystkich znanych, aby trzeba było je w tym ustroju wymieniać. Założmy, że repatriacja została zakończona. Mniejszości narodowych nie ma. Osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych — zakończone. Miasta Polski zachodniej będą mogły stopniowo wchłoniąć jeszcze 2 miliony ludności w drodze powolnej, stopniowej urbanizacji. Wieś będzie zamknięta i nie przyjmie już ani jednego człowieka. Cały przyrost ludności musi znaleźć pracę w zawodach nierolniczych. Będziemy mieli państwo o obszarze 311.000 km kw. i ludności około 22 i 1/4 milionów, ludności wyłącznie polskiej. Gęstość zaludnienia będzie wynosiła 70—72 osób na 1 km kw.

Tymczasem, ziemie wchodzące obecnie w skład Rzeczypospolitej liczyły ostatnio przed wojną ok. 32 i 1/2 miliona ludności, co odpowiada gęstości zaludnienia około 105 osób na 1 km kw. Mamy zatem zapas wolnych miejsc na 10 milionów ludzi. Gdyby przyjąć, iż stopa przyrostu nie będzie bardzo odległa od przedwojennej, można przewidywać, że za 26 do 30 lat gęstość ta będzie osiągnięta. Do tego czasu emigracja nie miałaby żadnego uzasadnienia, nie mówiąc już o tym, że możliwości emigracyjne praktycznie są znikome.

Opierając się na przedwojennej stopie przyrostu ludności w miastach (12%) i na wsi (21,5%) można ustalić, że w ciągu 10 lat ludność miast wzrośnie o 767,5 tysięcy, zaś na wsi — o 3.036,8 tysięcy. W okrągłych liczbach udział miast w ogólnym przyroście ludności wyniesie około 20% zaś na wsi 80%. W stosunku do podanej wyżej liczby 10 milionów ludności, wieś da zatem do pracy w mieście 8 milionów w ciągu około 30 lat. Jeśli przyrost okaże się mniejszy, liczba 8 milionów będzie rozłożona na dłuższy okres, wynoszący nie 26 czy 30, a być może 40 lub nawet 50 lat. Rocznie zatem wieś będzie dawać do pracy w zawodach nierolniczych około 300 do 160 tysięcy ludzi.

Nasuwa się pytanie, jakie wieś powinna postawić miastu: czy może ono zatrudnić taką liczbę ludzi?

Na razie odpowiedź na to pytanie daje narodowy plan gospodarczy (tablica 53). Według tych danych przewiduje się następujący wzrost popytu na ludzką siłę roboczą w porównaniu z rokiem 1946 w zawodach nierolniczych:

w roku 1947	o 97 tysięcy
„ „ 1948	„ 369 „
„ „ 1949	„ 664 „

O ile zatem przewidywania planu są ścisłe i słuszne, to lokata nadwyżki ludnościowej wsi byłaby zapewniona na okres objęty planem. Na wstępie niniejszego artykułu zostało przyjęte założenie, że wieś, a ściślej mówiąc rolnictwo, jest całkowicie nasycone elementem ludzkim i że nie może być mowy o jakimkolwiek zwiększeniu jej chłonności. Założenie to byłoby świadomie jednostronne.

Przy obecnej liczbie 14 milionów ludności wiejskiej, wieś może nadal wegetować na stopie życiowej, nawet wyższej niż przed wojną. Istnieje jednak nadal pewna liczba chłopskiej ludności zbędnej, która z tych czy innych względów trzyma się wsi. Dalsza racjonalizacja struktury rolnej i ulepszenie metod pracy może z łatwością wyeliminować jeszcze dwa do trzech milionów ludzi.

Pamiętajmy: W pokoleniu, które nadejdzie do miast polskich będzie 80% chłopów — miasta będą chłopskie, jak chłopską jest Polska.

ODSLONA II. SCENA VII.

BAK — BAKOWA — DZIADEK
RODZINA — RZĄDCA

BAKOWA: Wróciliście?
BAK: Już jesteście dziadku?
Byliście we dworze?
DZIADEK: Byłem...
BAK: Macie strzelbę?
DZIADEK: Nie...
BAK: A co wam powiedziałem?
DZIADEK: Nie dali mi...
BAK: A z kim mówiliście?
DZIADEK: Z dziedzicem...
BAK: I co wam powiedział?
DZIADEK: Powiedział, że nie da, bo ją dostał za wykupne...
BAK: Aha — nie głupi? I co wam strze-
liło do głowy! Co wam na mózg padło?
Tak się rozrządzić! Tak sobie łatwo łapu-
capu! Nie!...
BAKOWA: Dałbyś już spokój raz z tym.
Nie tyle ci chodzi o strzelbę, ile o to, że-
byś mógł ojcu nadokuczać.
BAK: Dużo mi z tego przyjdzie, jak im
nadokuczam. O strzelbę mi idzie... I co te-
raz zrobić? Przecie ja mu nie daruję...
BAKOWA: POCO masz darowywać?
BAK: A co zrobić?
BAKOWA: Co zrobić?... — Niech ci da
za konie strzelbę i już.
BAK: Wiesz... ty masz rację! Tak się
zrobi... Rozmawialiście z dziedzicem?
DZIADEK: Mówiłem.
BAK: Coście mu powiedzieli?
DZIADEK: Żeby oddał strzelbę... ze ty
mnie klniesz... ze mnie wygnolesz z domu...
BAK: O to pierwsze... Zaraz sobie dzie-
dzic pomyśli: w szkole był, a jaki to dla
rodzonego teścia... To wam się udało... To
macie politykę...
DZIADEK: No tak mówiłem, jak
było...
BAK: Dobrze, dobrze... Co wam powie-
dział?
DZIADEK: Mówił, że on mo jedną
tylko gębę i jedno słowo... Strzelby nie do,
bo ją dostał za swoją skode...
BAK: No tak — ma rację... Byłby głu-
pi, gdyby inaczej zrobił. To że była nie
wasza i że nie mieliście prawa krów wy-
kupywać, to dla niego głupstwo... Pewnie,
co mu to szkodzi?... Po diabła... To zro-
bili?
DZIADEK: Nie po diabła. Chęołym
krowy wykupić... A ta strzelba — wisiała
tylko i on się ji tak naparł...
BAK: Teraz macie — bżka... Trza wam
było się nie spieszyć.
BAKOWA: Zebyś jeszcze bardziej na
nich wrękał... No — byłoby to dopiero
było!...
WŁADEK: A dziedzic dziadkowi dał
papierosa!
JANEK: Nie prawda, bo dwóch!
WŁADEK: A nie prawda, bo trzech!
ZOSIA: Dalej smarkate! Nie wtrącaj-
cie się do rozmowy! Nikt was się o to nie
pyta!
JANEK: Tyś sama smarkata!
ZOSIA: Mamo, Janek dokazuje!...
WŁADEK: Mamo, mamo — on jej nie
nie mówi!...
(Rządca dochodzi do furtki, patrzy
chwilę po podwórku, wchodzi do środka).
RZĄDCA: Baku, mam do was pewną
sprawę.
BAK: Jestem.
RZĄDCA: Macie cugowe konie zajęte?
BAK: Mam. Są.
RZĄDCA: Proszę konie wypuścić i o-
kreślić wysokość straty pieniężnej. Ju-
tro wypłacę po południu w kancelarii po-
dwórzowej... Oczywiście, że w wysokości
naszych sąsiedzkich rozrachunków...
BAK: Ja chciałem powiedzieć...
RZĄDCA: ...orientujecie się chyba, że
nie ma najmniejszego sensu wodzić tutaj
w błahej sprawie zajęcia dwu koni tyle
ludzi...
BAK: Jest taka rzecz: widzi pan...
RZĄDCA: ...nie wiem, skąd wam się
wziął pomysł ściągnięcia tutaj samego
dziedzica. To niepodobne do wiary. Fakt,
że wyście musieli sami chodzić po swój in-
wentarz do dworu, nie powinien was na-
prowadzać na myśl stosowania jakichś re-
wanżów. Byłaby to nieuzasadniona mega'o-
mania. Rzecz sama w sobie niebywała...
BAK: Ja jednak uważam...
RZĄDCA: ...tak samo również absurda-
nie wygląda kwestia owej rusznicy. Naj-
pierw wydajecie z domu, potem odbieracie
— niesłychana praktyka. Jak małe dzieci...
Skąd wam się — doprawdy — takie po-
mysły rodzą...
BAK: Chciałbym wyjaśnić...
RZĄDCA: Czekam więc na te konie.
Nie przyszedłem tu na pogawędkę. Chodzi
o pospiech. Zwróćcie uwagę, że już ja tu
nie jestem potrzebny...
BAK: Ja koni nie wypuszczę.
RZĄDCA: Dlaczego?
BAK: Bo to konie nie pana.
RZĄDCA: Więc znowu to samo powta-
rzacie?
BAK: To samo. Sprawa jest ta sama.
RZĄDCA: Człowieku — wy swoim upo-

Teodor Goździkiewicz

RUSZNICA KRÓLEWSKA

Fragment sztuki nagrodzonej I-szą nagrodą na konkursie „Wsi”

rem naprawdę co wywojujecie. Skończy
się na tym, że pójdziemy do sądu. A to
— zdaje się — jest zbyt uczciwe.
BAK: Ja się sądu nie boję...
RZĄDCA: Albo jeszcze prościej sprawę
zakończymy...
BAK: No, jak?
RZĄDCA: Po prostu wezmę paru dwora-
ków i odbierzemy konie siłą.
BAK: Niech pan spróbuje... Proszę.
RZĄDCA: Tak zrobię — przekonacie
się.
BAK: Nie boję się. Będzie, co ma być.
Najlepiej niech pan idzie do dziedzica i
powie mu, że tylko jemu konie wypuszczę.
RZĄDCA: To wasze ostatnie słowo?

BAKOWA: I wtedy co — znowu musisz
iść.BAK: To pójdę. Ale dzisiaj muszę cię
zemścić. „Zemsta jest zbyt słodka, ażeby
się jej miał wyrzec”. Niech przyjdą do
mnie, jak ja tyle razy chodziłem...DZIADEK: Zawdy z nimi lepi nie zadzi-
rać... — Co pan to pan. On ta wszędzie
sprawiedliwość znajdzie...BAK: Dziadku, was się nikt o zdanie nie
pyta... Siedźcie i czekajcie na obiad. Już z
drugą strzelbą do dworu nie pójdziecie, bo
takiej drugiej nie ma.BAKOWA: Ojca znowu tak nie prześla-
duj. Zrobili, jak mogli i jak uważali, że
dobrze. Czy oni wiedzieli, że tak będzie?

Teodor Goździkiewicz

rys. St. Cieloch

BAK: Nie. Niech pan powie jeszcze
dziedzicowi, że za nic innego koni nie
wypuszczę, tylko muszę dostać za nie tę
samą strzelbę, którą ojciec zaniósł za moje
krowy... Tylko za to!

(Rządca macha ręką i odchodzi).

SCENA VIII

BAK — BAKOWA — DZIADEK —
DZIECI — DZIEDZIC

BAKOWA: Idź ty — dosyć tego. Upa-
rę się i tu po powórkach niepotrzebnie
się tylu ludzi płata. Jeszcze nie wiadomo,
jeszcze nie wiesz, jak wypadnie. Może się
tak zdarzy, że jeszcze i naszego co wle-
zie w szkodę i wtedy co?

BAK: Niech wpadnie. Niech cię o to gło-
wa nie boli. Będę się potem martwić.o tę strzelbę stojał? Wisiała na strychu
tyle lat, to kto mógł wiedzieć, że to na co
będzie potrzebne? Wisiała i wisiała, aż
ktoś ją wyciągnął...

BAK: Kto tę strzelbę wyciągnął z góry?

WŁADEK: A Janek.

JANEK: Dziadek mi kazali, żebyśmy się
bawili w polowanie...BAK: Znowu dziadek. Wszystko dziadek.
Gdzie co, to dziadek. A ty znowu będziesz
narzekała, że ci ojca prześladuje.BAKOWA: Pewnie. Uważałem się na
nich i jak tylko co, to zaraz na dziadka.
A to przecież chłopaki winni, bo jakby nie
ściągli to by nic nie było. No, ale ty ich
nie przykarczysz, tylko sobie co chcą, to ro-
bia. Tacy są, jak ich chowasz. Paska nigdy
nie widza...

D R O G A

Droga przez wieś jest kręta, wąska i kamienista,
snuje się między polem, jak wśród skib szara glista.Jest pełna kurzu, błota, zależnie od pór roku,
wiatry zmiatają kurze — deszcz zmywa ślady kroków!

Wciąż ją miazdzą naprzemian: koła, buty, kopyta — — —

— na tej drodze się żegna — na tej drodze się wita!...

W zimie pełna zasp śnieżnych — jesienią zdradnych kałuż —
(szczęśliwy biegnie wartko — smutny idzie pomału!)W przykopie rośnie osiet, dziadowskie wszy i lopian,
w tych chwastach śpiewa często pijawka dola chłopia!...Nad drogą stoją wierzyby, jawory i jesiony —
a brzozy płaczą za kimś — kto odszedł w obce strony!

Ścieżki dróg nie słuchają, smarkate swawolnice — — —

„po co nam stara droga? — Stwórzmy nową ulicę!...”

Potok skacze junaczko, niesforny, górski bękart,
uraga starej drodze, że przed figurą kłęka!...

A we figurze Chrystus góralski „frasobliwy”

nad wiejską dolą duma — do wiejskiej drogi przywykł — — —

Czasem droga jest cicha — czasem cała w tętnach,

Wiedzie na ślubne gody — na modrzewiowy cmentarz...

Tętni śpiewką weselną — płacze jękiem sierocym — — —

Tą drogą Radość — Smutek, ku wiejskim chatom kroczy!...

Czasem pełna hałasów — wojowniczych turkotów;

„do złych — okrutnych rzeczy, cicha wiosko się gotuj!...”

Daleki więzień marzy: „ooh, szedłbym nią na kłęczkach,

i krzyżem padłbym zaraz, przy pierwszych naskich łączkach...

Trzebinia, 1944.

BAK: Paska... Ty tylko myślisz o pasku.
Dziadek jest starszy, to powinien mieć ro-
zum za nich wszystkich, jak się zostanie z
nimi w domu.BAKOWA: Według mnie jednak powi-
nienesz się tak nie upierać. Między sąsieda-
mi to różnie bywa. Zająm ci też i twoje
— nieraz jeszcze.BAK: Ty znowu swoje. A tyle razy ci
już przecie mówiłem! Ach, z tymi kobie-
tami!...WŁADEK: Tatusiu, nie wypuszczaj ko-
ni. Niech będą nasze. Takie ładne!... Jeden
będzie mój, a drugi Janka!... Będziemy so-
bie jeździli!... Będą tak prędko jeździli:
droga, przez pola, po boru... Tak prędko!
Bo nasz kasztan, to tylko tak łązi... Nie
tatusiu?JANEK: Ty głupi!... To konie nie na-
sze. We dworze ich nie sprzedadzą... I tak
je musimy oddać i tak.

WŁADEK: A sprzedadzą!

JANEK: A nie

BAKOWA: Tyś nieraz był taki uparty
i źle na tym wychodzisz. Miło ci pewnie
będzie, jak tu przyleżesz z dziesięciu dwor-
usów i musisz się z nimi chlacić, co?

BAK: Pewnie, że nie miło.

BAKOWA: No to widzisz. A uparłeś się
i ciągniesz do swojego. I jeszcze żeby o co,
o strzelbę — stary zardzewiały klekot.BAK: (z pewnym zamyśleniem). Stary,
zardzewiały — ... klekot... Widzisz, czy
ty wiesz, że tę strzelbę miał w ręce jakiś
tam mój przodek. Że on nią wojował? Ja-
kieś dwieście pięćdziesiąt lat temu? Był
wtedy żołnierzem i bił się za kraj? Nie tak,
jak my dzisiaj o międzę, ale o własny kraj
z obcym, co tu przyszedł i chciał wszystko
zagrabić... On już coś musiał z tego wie-
dzieć, coś rozumieć, ale co? Żeby to wie-
dział, żeby to gdzieś wyczytał: co, co on
myślał, jak szedł wtedy na tę wojnę...
A był na prawdę, to nie jakaś tam baj-
ka... Ojciec mi mój mówił, a im znowu
dziadek... Że ich pradziadek wojował...

BAKOWA: Nigdy mi tego nie mówiłeś...

BAK: Boś mi się nie pytała...

BAKOWA: Nigdy mi tego nie mówiłeś,
po co to wiśi. A wisiała na tej górze i wi-
siała ta strzelba. Rdzewiała tylko i to
wszystko. A teraz masz pretensję do dziad-
ka. Dziadek też tyle wiedział, co i ja.

JANEK: Tatusiu, a kiedy była wojna?

BAK: Dawno.

BAK: A wy pamiętacie?

BAK: Nie, nie pamiętam.

WŁADEK: A dziadek pamięta?

BAK: Nie. I dziadek nie pamięta.

JANEK: Jeszcze przed dziadkiem!

BAK: Ooo, dawno przed dziadkiem!

WŁADEK: I wtedy strzelali?

BAK: Strzelali.

WŁADEK: Naprawdę, tatusiu, strzelali?

BAK: Naprawdę.

WŁADEK: Kulkami?

BAK: Tak, kulkami. Prawdziwymi.

JANEK: A jak myślisz, że tak jak dzi-
siaj: z gęby? Strzelali naprawdę prochem
i kulkami.

ZOSIA: Dziedzic!

(W furtce staje dziedzic, z rusznicą.
Wzburzony. Idzie ku Bakowi).

DZIEDZIC: Baku!

BAK: Jestem... (wstaje machinalnie, jak
gdyby chciał zagrozić drogę w głąb pod-
wórka dziedzicowi).

DZIEDZIC: Konie masz moje?

BAK: Mam.

DZIEDZIC: Zajęte?

BAK: Tak, zajęte.

DZIEDZIC: Był po nie polowy?

BAK: Był.

DZIEDZIC: Był pisarz?

BAK: Był.

DZIEDZIC: Był rządca?

BAK: Był.

DZIEDZIC: Tyś chciał koniecznie, żebym
ja przyszedł?

BAK: Tak.

DZIEDZIC: I żebym ci zapłacił tą rusz-
nicą?

BAK: Tak!

(Dziedzic podnosi strzelbę wyżej, stop-
niowo też rośnie jego głos — prawdziwe
crescendo rozmowy. Ostatnie słowo dzie-
dzica jest dyszkantem pasji).DZIEDZIC: A więc masz!! (strzela w
samą pierś Baka).BAK: (stania się chwilę na nogach)
Co?... co?... co?... (pada).

DZIEDZIC: Masz!!

(Unosi ku górze rusznicę i rzuca ją na
ciało leżącego Baka).W ostatnim 33 (112) numerze „Wsi” z dnia
24 sierpnia 1947 roku:Stanisław Śreniowski — Historiografia pol-
ska a dzieje chłopów. Juliusz Nowak-Dłużew-
ski — Muzeum Świętokrzyskie i Biblioteka
Wojewódzka w Kielcach. Jan Baranowicz —
Wiersze śląskie. Marianna Kościńska — Na
Wydarty. Tadeusz Orlewicz — Bułgarskie
aktualia rolnicze. Wiktor Woroszyński —
Przedstawienie „Burzy” Szekspira w Teatrze
Wojska Polskiego w Łodzi. Franciszek Ko-
tula — Przydrożna sztuka. Fragmenty z ta-
śmy Połkiej Kroniki Filmowej Nr 30. 9 ilu-
stracji.

Andrzej Skupień — Florek

Biały Dunajec w czasie wojny^{*)}

(dokończenie)

TUŻ PRZED WYBUCHEM WOJNY.

Nastrój ludności wobec nadciągających wieści na temat wojny, jaka wisiła nad Europą, był dość optymistyczny. Sądzono, że Niemcy, jeżeli uderzą na nas, czy gdzie indziej, to wojna długo nie potrwa, no i że Niemcy przegrają. Tłumaczono to tym, że nasz naród jest bohaterki, że mamy świetne wojsko oraz obiecaną pomoc Francji, Anglii i Ameryki, no i że Rosja na pewno nam też pomoże; że po tamtej wojnie światowej, mimo że Polska nie istniała, wyszła z wojny zwycięsko, a obecnie jesteśmy przecież o całe niebo w lepszym położeniu i inne podobne rzeczy opowiadano, stawiając same dodatnie horoskopy.

Były wieści, które potwierdzała na odcinku granicznym bezczynność odpowiedzialnych czynników wojskowych, że władze wojskowe polskie postanowiły Niemców wpuszczać bez oporu w dolinę Nowotarską, ażeby ich w tym kotle spruć, przając ich ze wszystkich stron górzystego terenu. Nie wiadomo czy istniał taki plan, czy też to była celowa propaganda. Bądź co bądź, nas to trochę nie pokoiło, wszak groziło to kompletną ruiną.

Mimo wszystko duch bojowy wśród ludności panował wielki. Na tydzień przed wybuchem wojny ogłoszono zarządzenie o mobilizacji mężczyzn, a kilku mężczyzn otrzymało imienne powołania do wojska — poza tym nic. Nareszcie z braskiem dnia 1 września 1939 r. słyszeliśmy już wybuchy i odgłosy armatnich strzałów od strony zachodniej. Na pierwszy rzut sądzono, że to polska artyleria ćwiczy. Nagle od strony Poronina nadlatuje samolot, lecąc tuż ponad same wierzchołki drzew. Był to samolot niemiecki. W lot też zrozumiano, że mamy już wojnę. Niebawem nadciąga droga korowód pojazdów samochodowych i dorożek konnych wiozących uciekających z Zakopanego gości letników, panów, urzędników, a nawet i miejscową ludność z workami pod samą podłogą, to znówu placówki graniczne i policję. Zapytywani przez tutejszą ludność, informując, że Niemcy już są w Białej Wodzie — potem w Chocholowie itd. Powstaje i u nas pytanie: co robić? — Mężczyźni uważają, że trzeba iść za wojskiem i zgłosić się do służby — wszak Ojczyzna w potrzebie — każdy się przydać może. Więc idą gromadnie wojskowi i nie wojskowi. W domu zostają same kobiety, dzieci i starcy, ale i tych ogarnia niepokój, gdyż uciekający opowiadają takie nowiny, że „Niemcy mordują młodzież”, więc i ci uchodzą i szukają schronienia w okolicznych lasach, aby przetrwać chwilę przemarszu wojsk niemieckich w tę odwrotną stronę, bowiem niesie się ogólnie wieść, że „za kilka dni Niemcy będą z powrotem uciekać”. Po południu wjeżdżają na motocyklach pierwsze patroli niemieckie, a później wojska słowackie na ciężarowych samochodach przejeżdżają tam i z powrotem. My zostaliśmy okraśnieni, bowiem wojska niemieckie wdarły się do Polski na teren Podhala od dwu stron: ze Słowacji, od wschodu przez Białkę i Pieniny, od zachodu przez Czarny Dunajec, kierując oba fronty na Nowy Targ, a stąd połączeni parli na północ. Tym sposobem już w pierwszym dniu wojny zostaliśmy z całym Podhalem odcięci od reszty Polski.

Następnych dni zaczęli się pojawiać grupowo żołnierze niemieccy we wsi odwiedzając sklepy, a znajdujące się w nich masło zabierali i w żarłoczny sposób jedli. Dziwowali się przy tym, że u nas tyle tego masła jest. Ci sami żołnierze rozlecieli pierwsze afisze niemieckie z ogłoszeniem, że „na rozkaz Führera wojska wkroczyły do waszego kraju, celem uwolnienia was spod jarzma rządzącej kliki” itd. Przez okres 3-4 tygodni, tak w całej gminie Poronin, jak i w gromadach nie było żadnej władzy. Wójt z całym personelem wyjechał w dniu 1-go września uwożąc wszelkie akta, sołtys i niektórzy też pochodzili w głąb kraju, inni siedzieli zestrachani w domu. Tymczasem zawiązał się w Poroninie gminny komitet niesienia pomocy biednym i osieroconym rodzinom z ks. kanonikiem Jakubem Możdżeniem na czele. Znajdując się w Poroninie na placu obok stacji kolejowej państwowej mienie w formie kilkuset metrów drzewa w klockach długości 1 metra, ów komitet uchwalił rozdać i częściowo sprzedać na rzecz biednych. Czyn zrealizowanej uchwały likwidującej owe składy drzewa ogromnie bolał byłego sołtysa z Białego Dunajca, który okazał się małym Quislingiem, osobiście udał się do urzędującego już w tym czasie starosty niemieckiego w Nowym Targu ze skargą, że drzewo z lasów państwowych znajdujące się w Poroninie jakis komitet rozdaje ludności, oraz że w gminie tej nie ma żadnej władzy itd. Skutek tego był ten, że ów sołtys złożył przyrzeczenie służbowe na wierność „Wielkiej Rzeszy” i został mianowany wójtem gminy Poronin. Zaopatrzone w odpowiedni dokument powrócił do wsi już jako wójt. Było to dnia 20 września 1939 r.

POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ.

Od tego dnia byliśmy już pod rządem. Pierwszą czynnością wójta, który usunął gminne „bezkrolowie”, było wzbudzenie

zabierania drzewa. W tym samym dniu 20-go września, zwołuje on całą radę gminną, w miejsce brakujących sołtysów mianuje nowych, zarządza pobór podatku, z czym nie solidaryzuje się rada gminna. Dnia 23 września przenosi urząd gminy z Poronina do Białego Dunajca i lokuje w budynku szkolnym. W dniu 1 listopada oglądamy afisze pokazujące nam ruiny i zgłoszenia polskich miast z napisem: „Anglio, to twoje dzieło” — pierwsze kłamstwo wojenne Niemiec, w które nikt z Polaków nie wierzył. Jest Wszystkich Świętych, w kościele lud śpiewa pieśń z powtarzającym się refrenem: „Wszyscy Święci dawni, nowi — polećcie nas Chrystusowi — Odpędźcie wojska pogańskie — za granice chrześcijańskie”.

Powoduje to zjawienie się u ks. J. Możdżenia proboszcza, jakiegoś władcy wojskowego, a na przyszłość zabroniono śpiewać nawet inne pieśni. Kilka dni później znowu zjawiają się u tegoż księdza wójt i żandarmeria niemieccy w sprawie rozdania drzewa, które rozkazali księdzu zwrócić co do ostatniego klocka i to pod karą śmierci. Było też z tym nie mało kłopotu, ponieważ nie wszyscy mieli już owe drzewo, inni nie chcieli oddać, tak, że spór o ilość musiał ks. proboszcz i inni członkowie b. komitetu dokupić, ale byli i tacy, co drzewa nie pobrali, a braki pomagali wyrównać ofiarami własnego drzewa. W ciągu listopada napływają do wsi wysiedleńcy Polacy z Poznańskiego i Pomorza, żywią oni nadzieję, że na „gwiazdkę” będą u siebie w domu. W grudniu 12 i 19 mamy już pierwsze spędy bydła, na które wyznaczono po 5 sztuk bydła, z naszej wsi, oczywiście na pierwszy „ogień” idą krowy gospodarzy nie mile widzianych przez wła-

nie. To szczere wyznaczenie przypłaci życiem, gdyż kara i tam go dosięgła. Był to Stan. Cudzych z Białego Dunajca.

Tę samą jeszcze szynę zabrali Niemcy 100 mtr. drzewa z lasu własności naszej gromady, a we wsi gospodarzom od domów drzewo i deski budulcowe wysokiej wartości, a z całej wsi, w ilości nieobliczonej. Zburzono też i rozebrano dom — karczmę Wachsbergera Markusa. Niebawem zabroniono wolnego handlu wszelkim nabiałem, nakazując przymusową dostawę kontyngentu mleka, do czego ludność nie chciała się zastosować. Stąd też posypały się najrozmaitsze kary, przy czym wprowadzono kontrolę uliczną dla pojazdów i przechodniów, którą to czynność najsumienniejszą spełniała polska policja, odbierając niesione masło i mleko i wylajując je do rowów przydrożnych.

Dnia 30. 10. 1940 r. odbył się pierwszy przegląd i klasowanie bydła w naszej wsi. Bydło sklasyfikowano na 4 klasy. Krowom III i IV klasy groziła śmierć dlatego, że były różnorodnej maści: lysy, kwiaty i brzoziaste a tych nie bardzo lubili Polacy członkowie komisji i bez względu na ich mleczność dawano im klasy gorsze, aby ich kosztu uratować krowy inne. Dano gromadzie nakaz, by co tydzień dostarczała na kontyngent 2 sztuki świni o wadze od 80 kg. wwyż. Niestety, takich świń w ogóle w wsi nie posiadała, bowiem gdy dowiedziano się o tym, wszystkie większe świny „pozdychały”, ale mniejsze nigdy nie mogły osiągnąć pożądanej wagi, bo je choroba brała, więc z konieczności też „padały”. Mleko też jakoś nie chciało do zlewni płynąć silnym strumieniem, z tego powodu płynęły na mieszkańców wysokie kary pieniężne, ale i te nie



Oddział straży pożarnej w Białym Dunajcu

dze gminne. Za spędami przychodzi oddawać kontyngentów zboża. Rok 1940 rozpoczął się krwawo. Dnia 15 stycznia na cmentarzu w Poroninie rozstrzelano gestapo w dzień na oczach ludności 4 więźniów przywiezionych z więzienia z Zakopanego, i jak stwierdza współwięzień Jan Zaremba z Poronina byli to Polacy, oficerowie rezerwy z zawodu nauczyciele: Dubas z Warszawy, Pieńkiewicz i Tomaszewski z Łodzi, i przewodnik z Jęrgowa na Spiszu. 17 stycznia dokonano pierwszego aresztowania gospodarzy w Białym Dunajcu.

Na linii kolejowej, między Poroninem a Białym Dunajcem kursujący parowóz wywrócił się wskutek podminowania toru, co było dla Niemców dowodem istnienia organizacji podziemnej. Powoduje to ustanowienie na terenie gminy zakładników, których nasza wieś wystawia 3, co 14 dni innych. Dnia 8 lutego następuje wyjazd pierwszego kontyngentu ludzi na roboty do Rzeszy. Nie wiadomo, jakie zarządzenie otrzymał zarząd gminy, ale przygotował na wyjazd 1.000 ludzi z gminy. Białym Dunajec miał dać 200, gromadząc wszystkich na ten dzień przed lokalną gminą. Ludność jeszcze nieświadoma zeszła się nawet licznie, najwięcej ojców i matek z prośbami o zwolnienie wyznaczonych dzieci. Przybyła komisja nie posiadała się z radości na widok tylu ochotników, i oświadczyła publicznie, że tyle nie potrzeba, i żeby ci, co mają pracę w domu, odeszli. To wystarczyło. Wszystko się rozleciało, oburzone na wójta za tak gorliwy werbunek. Znalazł się we wsi zdolny karykaturzysta, który wy-malował afisz, przedstawiający zimowy pojazd wypełniony ludźmi. Pojazd był zaprzęgnięty w buego konia, który przedstawił wójta mającego przydomkę „Bury”, jeden z sołtysów powoził koniem, a czterech pepychało pojazd. Fizjognomia twarzy urzędników była udana. Napis na afiszu wołał: „Wio Bury do Niemiec”. Mieli też z tego ludzie uciechy co nie miara, a wójt — był wprost wściekły. Zerwał ów afisz i oddał go gestapo, podejrzewając wiele osób o wy-konanie afisza. Wiadomo, że następne wyjazdy nie były takie pomyślne jak ten pierwszy, tak że wyjechał i ów karykaturzysta, a widząc rzucanie się wójta na niewinnych ludzi powiadomił listem wójta o swoim czy-

panem tzw. „Komitet Góralski”. Ludność wiadomość o tym przyjęła z wielkim oburzeniem. Niestety chciało, że na nasze po-niżenie, poza wójtem, który w tym Komitecie był „ministrem” propagandy — znaleźli się w Białym Dunajcu człowiek, który przy-jął prezesurę delegatury Komitetu Góralskiego na gminę Poronin, a skutkiem tego odebrano zarządowi gminy wydawanie ken-kart a wydawanie powierzono teże delega-turze, a ta rzekomo na zarządzenie władz nie wystawiała innych, tylko z literą „G”. Wobec tego ludność stawiała silny opór i w ogóle po kenkarty nie poszła, za wyjąt-kiem jednostek, które celem wyjazdu mu-siały zaopatrzyć się w dokumenty, poza tym przymuszono lub zachęcono mąką i wódką, kilku biednych i matolek, a częściowo i tych, którzy wywożeni byli na roboty do Niemiec, a nie rozumieeli sprawy. Ogólnie groziło ludności wysiedleniem tych wszyst-kich, którzy wezmą inne kenkarty niż góralskie. Mimo tych gróźb ludność decydowa-ła się nawet na ewentualne wysiedlenie, a kenkart zawsze domagała się polskich. Czę-sto też zajeżdżał do naszej gminy i wójta prezes Komitetu Góralskiego, Wacław Krzep-towski, który agitując zapewniał, że kto przyjmie kenkartę góralską jest wolny od wyjazdu do robot do Rzeszy i że była na kontyngent takiemu brać nie wolno itp. Wszystko to okazało się kłamstwem, gdyż w późniejszym czasie zabrano krowę samemu prezesowi delegatury na gminę Poronin. Sam Wacław Krzeptowski był znany dobrze całemu Podhalu, więc i Białodunajczanie wiedzieli, co o nim sądzić, a na jego widok pięści się zaciskały, ale rozumiano i to, że do zrobienia z nim rachunku na razie za-wcześnie. Żeby dać upust swemu tempera-mentowi a nie narazić zakładników na utra-tę życia — śpiewano mu najrozmaitsze śpiewki a między innymi i te:

„Cy Ty Wacek nie wys, jacy my górale?—

Polska nam Ojczyzną — a my — synowie!

Nie ryj świnię głupio, nie psuj polskiej

sprawie —

Niemców z nos nie zrobis, choćbyś stoł na

głowie!

Polska będzie żyła, Niemcy przegrać

muszą

Tobie kulka trafi — jabo cie obwiesom!”.

Zaistniała tu jeszcze w tymże roku sprawa utworzenia z Podhala terenu zamkniętego dla nie górali i dla tych, którzy mieszkali tu krócej niż 20 lat. Wszyscy inni mieli rozkaz opuszczenia tego terenu, przenosząc się poza Nowy Targ. Cios był wymierzony specjalnie w przyjezdnych, a tu osiadłych i posiadają-cych nieruchomości, grunt i budynki. Doty-czyło to również i księży, organistów, nau-czycieli i wszystkich uchodźców i wysiedle-nych. Była to sprawa bardzo niemila dla nas, miejscowych górali, powodująca roz-dźwięk między obywatelami jednej ojczyz-ny. Nikt się wprawdzie tak prędko nie wy-nosił, ale gdyby zarządzenie miało być wy-konane, to parafie zostałyby bez kapłanów. Dla zorientowania się wysłał mnie ks. J. Możdżeń z Poronina do księdza Metropolity A. Sapiehy w Krakowie, który po wysłuchaniu tej sprawy orzekł, żeby ludność napływowa, tak świecka jak i duchowni, po-zostali na miejscu. Nadto skierował dele-gowanego z listem polecającym od siebie do prezesa R.G.O. hr. Ronikera. Skutek był po-mysłny, gdyż sprawa uciicha. Jednakże nie-kiedy z obawy przed utratą mienia pośpie-szyli się tymczasem, pobierając kenkarty góralskie (choć nie byli góralami). Jeżeli cho-dzi o ilość kenkart góralskich w Białym Dunajcu, to było ich ogółem 138 na 2.800 lud-ności, według spisu niemieckiego z r. 1943. Odnosnie do tego spisu, znamienne jest fakt, że nikt nie przyznał się do narodowości góralskiej.

W roku 1942 pojawiają się po raz pierw-szy partyzanci we wsi, upominając wójta, by nie był tak gorliwy w służbie dla okupa-nta, i żeby na przyszłość był lepszym Pola-kiem.

Warunki gospodarcze ludności pogarszały się z każdą chwilą. Np. kontyngenty zboża, ziemniaków, bydła, mleka, paszy — jak sia-no i słoma oraz ludzi podwyższano z każ-dym rokiem. W pierwszym roku kontyngent owsa wynosił z 1 ha. 60 kg., w drugim 250 kg., potem 350 a w końcu 700 kg., a ziemnia-ków 2.200 kg., zaś mięsa. wieś miała nakaz do oddania co tydzień 15 — 20 tys. kg. ży-wca.

Jeżeli chodzi o plody rolne — ziemniaki i owies, to takiej ilości, której żądał okupant, żaden gospodarz na Podhalu z hektara nig-dy nie zebrał, i — jeżeli nie padliśmy pod tymi ciężarami, to tylko dla tego, że przy sporządzaniu spisu użytków rolnych oszuki-wano okupanta, w czym nam pomagali ko-misarze spisowi — Polacy.

Jedynie też dzięki polskim kolejarzom moż-na było cośkolwiek z żywności dowieźć do wsi, bo żywność konfiskowali „Bahnschutze”.

Najgorzej było w latach 1943 — 1944 i pierwsze dni stycznia 1945 r., kiedy były łapanki i aresztowania ewakuowanych War-szawiaków, którzy rzekomo organizowali gó-rałi do powstania. Wówczas urządzono łap-panki po podciągach i stacjach, drogach, po wioskach a nawet i w czasie nabożeństw przy kościele. Chwymano nie tylko Warsza-wiaków, ale każdego, kto tylko wpadł w rę-

*) Patrz „Wieś” nr 23 (102), 26 (105), 27—28 (106—107) i 31 (110).

ce. Ale szczęście nie konieczne im sprzyjało — wszystko uciekało w las, a las wtenczas był „nasz”. Były często takie chwile, że nocą okrażono wojskiem część lub całą wieś zabierając starych, jeżeli młodych nie było. To też ludzie całe noce musieli siedzieć w różnych norach mokrych i zimnych. Za nieoddanie żądanych kontyngentów ludzi płaćcia wieś kilkakrotnie kontrybucje pieniężne 10, 20 i 30 tysięcy złotych. Aresztowano nawet księży Obludowicza i Kasiarza, wikarych w Poroninie, że nieudolnie zachęcali ludność na wyjazd do robót, a do uciekających ludzi strzelano jak do zajęcy, przy czym kilkunastu raniono a nawet zabito. Liczba wywiezionych z Białego Dunajca na roboty do Rzeszy jest określona na 70 ludzi, dokładnie trudno powiedzieć, gdyż były takie szczęśliwe osoby, które kilkakrotnie wyjeżdżały za siebie i za innych, a zawsze były w domu. Z wywiezionych do Rzeszy dotąd nie powróciło 9 osób, z których 3 uśmiercono, 2 nie dają żadnego znaku życia, a o ich śmierci też nic nie wiadomo, reszta utrzymuje kontakt z rodziną.

Podobne łapanki jakie przeżywali ludzie, stosowano też i do bydła, a to z racji niedostatecznej ilości dostawy kontyngentów bydlnych na mięso. Z początku całym utrapieniem był targownik, który stał w asyście swoich pomocników robił rewizję stajen, sprawdzając stan posiadanego bydła z listą rejestrowanych u siebie sztuk. Pierwsi wzytowani często padali ofiarą. W ostatnich latach to już z pastwisk położonych bliżej dróg zabierano bydło, obojętne komu, opornemu czy nie.

Dnia 14 września 1944 roku odbył się przegląd bydła. Był to już ostatni przegląd. Bydło zostało spędzone na plac przez żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe i rozpylacze, ale tylko z centrum wsi. Wy-

znaczono wówczas 80 sztuk krów na rzeź, które zaraz zabierano. Ludność zdołała część bydła uratować, a to dzięki przypadkowi, który spowodował błyszczący przedmiot lecący w powietrzu, budząc wśród komisji — Niemców wielkie zamieszanie. Tej samej nocy zjawily się lecące ze wschodu samoloty, oświetlając Zakopane. Syreny zawyły obwieszczając alarm lotniczy. Samoloty coraz liczniejsze warczały nad okolicą, nagle w pewnej chwili rozległ się głośny wybuch bomb, które w liczbie czterech spadły w pewnej odległości fabryki i mostów kolejowego i kołowego w Białym Dunajcu, powodując uszkodzenie domu jednego z gospodarzy.

Zaś o tej samej porze zrzucono na Łysej Polanie w Tatrach bardzo liczny desant, który z nadejściem zimy zamieszkał u gospodarzy w Małym Cichym, przysiółku Białego Dunajca.

W ostatnich miesiącach ludność wyraźnie bojkotowała oddawanie kontyngentów bydła na spód, jako też i mleka, co było powodem masowego zabierania bydła przez specjalne brygady karnych ekspedycji wojskowych złożonych z Mongołów i Ukraińców, będących na żołdzie niemieckim, którzy niespodzianie do wsi wpadali, otaczając część domów i zabierali wszystko bydło. Więc znowu ucieczka z bydlęm w góry i lasy, gdzie całymi tygodniami przetrzymywano bydło na mrozie i śniegu, donosząc im karmę nocami z domów, gdyż nie było wiadomo, kiedy znowu wpadną Niemcy na następny rabunek. Nie darowano też i dorożkom powozowym, lecz te same brygady zabierały je.

Istniała jeszcze jedna udręka, którą trapiło gospodarzy posiadających konie, ustawicznie wypędzając ich do zwózki drzewa z lasów tatrzańskich, czego dokonywali woj-

skowi strażnicy lasów zwani Fortschützen pod groźą łuf karabinowych. Zwózka dawała wyniki niezadowalające, bowiem gospodarze wyjeżdżali ze wsi jedną drogą, a drugą po jakimś czasie wracali nie będąc w ogóle w lesie. Ale sztuka ta nie zawsze się udawała, trzeba było być w lesie. Tu jednak starano się tego drzewa jak najmniejsze ilości zabrać, za co znowu jeden z urzędujących podówczas leśników, policzkował chłopów, wyrażając się przy tym, „że wszystkich chłopów kazałby wybić”. Otrzymywane od niego razy były dla nas bardzo bolesne, nie tyle fizycznie, co duchowo, dlatego że był Polakiem.

Wieczorem dnia 30 grudnia 1944 roku, partyzantka uprowadziła wójta gminy Poronin, obywat. B. Dunajca Fr. Franosza — „Burego”, na którym wykonano wyrok śmierci, zaś z lokalu zarządu gminy zabrano i spalono sporą ilość ważniejszych akt i ksiąg biercznych dla podatku. Srekrretarz o wypadku doniósł na „Gestapo”. Wypadki te zrobiły na ludności ogromne wrażenie i oczekiwano końca dzieła nieuniknionej pacyfikacji, która jednak nie nastąpiła. Widzieliśmy w tym wyraźną słabość, czy też niepewność siebie.

Od połowy stycznia 1945 r. zaczynają się przewalać liczne oddziały wojsk niemieckich idących ze wschodu. Pierwsze grupy zatrzymują się jeszcze na kilka dni w naszej wsi, zajmując gospodarzom mieszkania, przywiązując sobie co im się podoba, nie wyłączając koni i bydła, które zabijano na miejscu i jedzono. Ludność chcąc ratować swoje mienie, jeszcze raz ucieka z nim w odległe przysiółki zdala od głównych tras. Wojska nie długo ruszyły na zachód, i oddat nieustannie włóką się i włóką ocieźale i bez pruskiej buty. W niedzielę dnia 23, przybyli specjaliści wojskowi i minowali mosty, kołowy most z betonu i drugi kolejowy, z których ten pierw-

szy w nocy wysadzono, a drugi ocalał dzięki odważnym ludziom, którzy most rozminowali. W poniedziałek 29 stycznia do południa uchodzą resztki wojsk niemieckich — po południu pojawiają się pierwsze spore oddziały wojsk Czerwonej Armii, które ostatecznie uwolniły nas od barbarzyńskiego najeźdźcy.

* * *

Oto historia wsi polskiej na przestrzeni prawie 4-ech stuleci, która nigdy nie zaznała dobrobytu, lecz zawsze ssana, wykorzystywana z siłą i dół, jęcząc, ugięła się pod ciężarem pańskiego jarzma, tak w czasach królewskiej Polski, jak i cesarsko - królewskiej Austrii i potem. To też witając zwycięską armię — witamy Polskę nową, odrodzoną — wolną, z nadzieją, że dla polskiej wsi, polskiego chłopca w tej Polsce nastaną inne lepsze czasy.

Mamy tę wielką satysfakcję, że miejsce pańszczyźnianego ucisku, Dwór Uznańskich w Szafarach — zamieniono na kuźnię wiedzy i kultury dla chłopskich synów — Chłopski Uniwersytet Ludowy.

Korzystano ze źródeł:

- 1) Dokumenty archiwalne udostępnione mi w lipcu 1932 r. przez p. Dr. Gabriela Leńczyka, członka Akad. Umiejętności w Krakowie.
- 2) Materiały i zapiski zebrane przez p. Dr. L. Wyrostka, dotąd jeszcze drukiem nie wydane, z których pozwolono mi korzystać.
- 3) „Dzieje i Ustrój Podhala Nowotarskiego” prof. Józefa Rafacza.
- 4) Gminne akta i dokumenty znajdujące się w posiadaniu Woj. Stachowca z Białego Dunajca oraz ustne opowiadanie tegoż; a nadto własne zapiski.

Andrzej Skupień-Florek

Bolesław Chęciński

CHATA ŁOWICKA

Fragmenty poematu „Lato łowickie”

Słońce wysoko, wnet południe.
Idziemy do wsi wolnym krokiem
po brukowanej, twardej drodze.
Drogi tu proste są i równe,
nie jak z przysławia „drogi polskie”.
Z taką się drogą postęp zgodzi.
Czasem gościńcem takim przemknę
dzisiaj motocykl. Księżak na nim
opanowanym ruchem siedzi
i myśli, jak to będzie pięknie,
gdy na samochód go zamieni,
co stanie wprost chłopskiej biedzie.

Wies leży cicho w młodym słońcu
otwarta jak na jasnej dłoni.
Ledwie ją ptasi podzwiek trąca
i czasem głos ochrypli zgoni
psa, co znużony próżnowaniem
zaskomli smętnie, lub zaszczeka.
Patrzmy na domy. Jedne stare,
dawniejszą modą budowane
z bierwion szerokich topolowych,
albo sosnowych, na dębowych
przyciesiach mocnych. Szpara w szparę
mchem obetkana, a znad ściany
frontowej, górą spopod dachu
ornament pstrzy się kolorowy
na desce pięknie wyrzeźbanej.

Oprócz okapów, strojnych szczytów,
gzymsów, grzebieni nade drzwiami
też okienne ówdzie i tu
grają barwnością i kwiatami
malowanymi kolorowo.



Ze zbiorów D. Gałaja

Nie bez znaczenia dla charakterystyki poety jest odkrycie jego patrona literackiego. Chłop Kuraś piszący na nutę hrabiego Krasińskiego to zjawisko szczególne nie tylko w literackim, ale i społecznym wydźwięku.

Patronem poematu Chęcińskiego „Lato Łowickie” jest Julian Tuwim ze swymi „Kwiatami Polskimi”. Widać jest u Tuwima rozkład mowy poetyckiej w zbytniej rozległości, niepowszechność języka. Poezja nie tkwi tu w samym utworze, nie jest on poematem dzięki specyficzności konstrukcji, a dzięki działaniu ubocznej siły, jakiegoś współczynnika poetyczności będącego i egzaltacją uczuciową poety i wynikiem jego gadatliwej ogłady literackiej. Opis idzie za opisem, spojrzenie snuje się i spostrzega coraz nowe szczegóły obrazu, zatrzymuje się, by po chwili kapryśnie ruszyć dalej.

Nasz autor pozbawiony tego stopnia kultury literackiej, co Tuwim, bierze formę poematu z ostatniej, a nie pierwszej ręki, którą by należało może widzieć w poematach Słowackiego. Inowacją „Beniowskiego”, „Podróży do Ziemi świętej” było objęcie sferą poetyckiego języka treści potocznych, wulgarnych. Mieszanie ich z podniosłymi przedmiotami rzucało na nie blask poetyczności, a jednocześnie przydawało im coś z żartu i kpiny. Przedmioty

zwykłe, pospolite nie miały tu nic z powagi głów kapuścianych i grzybów z „Pana Tadeusza”.

Bronisław Chęciński w poemacie „Lato Łowickie” zamierzył jeszcze raz przełamać sferę poetyckiego języka, jak to zrobił dla swoich prozaizmów Słowacki. Tylko prozaizm Chęcińskiego są już inne — nowoczesniejsze: szosa, motocykl, elektryczność, radio, motorowa miocarnia. Przedmioty te w zestawieniu z etnografom niemal właściwą egzaltacją w opisie sielskiego regionu, tak już zakrzepłego w swej ludowości, jak region łowicki — dają rzeczywiste wrażenie przerwania jakiegoś zastalego schematu literackiego. Przy tym przedmioty te, nowoczesne wulgaryzmy, jak w romantycznym języku: parasol, czy słoma, występują w szerszej funkcji — nie tylko w funkcji wyszukanego ornamentu poetyckiego, jak jest właśnie u Tuwima, ale i problemu. Nazywanie — jako czynność poety — pokrywa się w tym wypadku ze stawianiem w poezji problemu społecznego.

Chęciński kocha się w ludowości wsi łowickiej, ale technika, nowoczesne formy życia nie psują jego wiejskiej wizji. Wbrew sobie, wbrew pewnej nieporadności literackiej dokonuje Chęciński w swym zakresie odkrycia ściśle literackiego. A. K.

Młodsze zaś domy okazały
rozbudowane modą nową
obszerne są i zgrabne wcale,
z cegły czerwonej albo szarej,
niektóre z drzewa, szalowane,
obite deską, malowane.
Przy nich — jak zwiedle domy stare!
Do drogi ganek dom przybliża
nakryty gęsto dzikim winem,
albo też różą jerychońską.
Schodki kamienne u podnóża
czasem z betonu, albo inne.

Przed frontem kwietne lśnią ogródki
wilgłą świeżością barw soczystych.
Na klombach w serca i trójkąty
śnieżą się róże, a na krótkich
łodygach toną w kolor bystry
piwonie duże. Im nie skąpi
natura krwi czerwonej, która
z płatków im tryska widmem pełnym.
Goździki, lilie, georginie,
pomniejszych kwiatów barwna chmura
(z niej biorą wzór pasiaste wełny —
barwa w nich żyje i nie śnie). —
Ogródek jakby jeden bukiet,
a w nim związane wszystkie kwiaty —
złote nagietki, niskie bratki,
ani im jeden kolor uciekł.

Idąc przez Złaków, Baków, Bocheń,
Łąniki, Zduny, Wierznowice,
Ostrów, Skaratki, Jackowice,
zdziwi się może nieraz trochę,
kto myśli o nędznej wsi hoduje,
kiedy zobaczy nowoczesne
domy mieszkalne, chłopskie wille.
nieraz piętrowe, tynkowane.
A chłopskie serce dumę czuje,

że praca jego tak pocieszna
daje owoce. Patrzeć milej
na nowe domy, pod dachówką,
w których wygodniej żyją ludzie,
niżli na chaty pochylone
w cień spróchniałego romantyzmu.

Ażby nas nie zapomnieli
ściany tej izby za rozstaniem,
przypatrzmy im się lepiej przecie.

Nad ołtarzykiem uskrzydłonym
w porcelanowe cherubinki,
pod łgą Madonny zawieszony
wieczystej lampki płomyk cienki...

Oprócz wysoko białym puchem
zasłanych łóżek, spopod ściany
zwraca uwagę skrzynia kuta
W niej spoczną nętko kiecki sute
znieruchomione snem różnym
w szarości powszedniego jutra.
Jak wszędzie kwiaty również i tu
na kutej skrzyni malowane
w łodygi cienkie, pstre korony.
Schówek odświętnych aksamitów
musi być sprzętem ozdabianym.

Oprócz kredensów szklonych jasno,
maszyn do szycia, szaf — pokaże
oczom się rzecz, co przez wieś poszła
zdobyczą piękną i wyraźną.
To elektryczność, która łuną
spod niskiej strzechy załopocze,
aby rozświetlić wsiowe oczy.
Z nią na wieś cały postęp runął
i często już po rannej rosie
muzykę ściele, piosenkę toczy
radioaparat nowoczesny.

Do domu weszła właśnie matka
stateczna wiekiem Murasowa,
a czując w uszach posmak pieśni
zazdrości zlekka swym sąsiadkom:
Żeby tak z trzody coś uchwacać,
sprzedać i radio takie kupić,
jak u sąsiadek, rzecz gálanta
taki aparat i niegłupi
musiał być człowiek, kawał frunta,
co takie radio wymajstrował.

A po stodolach dzień roboczy,
Warczą motory elektryczne.
Odkryta chłopom siła nowa,
gdy postęp w progi jego wkroczył.
Przestał pajacem być komicznym
ubogi kmiotek w pańskich oczach

Rzecz w dawnej chacie niewidziana,
mebel niewielki w kącie stoi,
którego chłopu pozazdrości
ciarach niejeden w portkach z pana
To etażerka malowana,
książkami pełna izbę stroi.

Książki rozmaite, naukowe,
trochę rolnicze, trochę chłopskie.
Po latach również tu pod strzechę
zbiłyżły księgi Adamowe,
czego tak pragnął pielgrzym polski,
gdy wdychał w niebo o pociechę.
Tutaj też właśnie jako nigdzie
wdzięcznego znajdzie czytelnika
poezja nasza, powieść polska.



Ze zbiorów D. Gałaja

Zdzisław Skwarczyński

KSIĄDZ PLEBAN^{*)}

(Chłop i sprawa chłopka w powieści XVIII w.) (III)

Motyw „dobrego plebana” najobszerniej rozwinął przez Kossakowskiego w całym naszym romansie czasów Stanisława Augusta występuje w tym romansie na tle słabiej zaznaczonych, ale interesujących kilku wariantów „złego plebana”; jest pozytywnym na tle kilku negatywnych.

Pamiętamy, że kiedy karbowy w **Pani Podczaszynie** wynosił pod niebiosa zasługi Księdza Plebana wspominał, że za poprzednika jego istniała przy kościele przybita do muru kuna, w którą wsadzano chłopów, sznury od dzwonów były narzędziem do bicia, a dom Boży — miejscem postrachu i kary.

Otóż na takiego to księdza trafia narrator z **Księdza Plebana** w swej podróży do odziedziczonej majątności.

Zbieżność między Kossakowskim i Krajewskim wynika tu najprawdopodobniej, wobec jednoczesnego ukazania się ich dzieł, z obserwowanych ówczesnie faktów.

Przyjrzyjmy się bliżej temu Księdzu Plebanowi zamieniającemu chłopom parafianom życie doczesne w piekło i czyściec. Jest to najżywiej nakreślony obrazek w całym utworze.

„Jużem go — mówi narrator — zastał na ementarzu fukającego i hałasującego: człowiek zsiady, krep, czarny, marsowaty, brew mu oczy zasłaniała, kij w ręku trzymał i ledwie spojeł na mnie spojrzał; jam się też nie chciał pod tą piorunującą minę zaraz nawijać, ale się udał do kościoła, przy którego drzwiach kilkanaście przybitych postrzęgiem żelaznych obręczy na szyję, na ręce, na nogi i na pól, a w samych drzwiach wisiały dwa z grubych powrozów ukręcone knoty. Wchodząc w kościół po jednej stronie na boku leżały różne nieznajome mi cale narzędzia: rogi na głowę, wieńce duży ze słomy, bałwanek z drzewa w chusty uwiniony i inne tego gatunku kawałki, z drugiej zaś strony stała na stoiku skarbona duża wielką kłódką zamknięta i woda święcona. Kilku pleczystych chłopów wartę trzymało na wstępie do kościoła i w samym kościele, opatrzonych w porządkie kije”.

Śród osobliwych rekwizytów, jakich katalog daje nam autor, rzuci się w oczy skarbona. Pozwala to przypuszczać, że kary mają swe źródło nie tylko w anachronicznym fanatyzmie religijnym, że mają one również podłoże ekonomiczne. Jakoż odsłania je autor nieco dalej, komentując w sposób satyryczny „ceremonie” odbywające się przed mszą na ementarzu kościelnym.

„...postrzegłem Księdza Plebana przybranego w komżę i stułę, trzymającego krzyż w ręku, stojącego nad rozciągniętym na ziemi nieszczęśliwym, którego we dwa grube powrozy przy duchowym napomnieniu o prawcy siekli. Ta kolej ledwo na ósmym czy dziesiątym pokładacz zakończyła się. Dorozumiałem się przyczyny z samej duchowej nauki, iż ta kara była: za branie trunksów z żydów cudzych na wesela, chrzciny i pogrzeby, jako u nieprzyjaciół Chrystusa, czarowników i bluźnierców, pomimo karzmy Księdza Plebana, w której chociaż drożej, mniejsza miara i nie tak dobre były trunki, przecież od wszystkiego podejrzania wolne; za najmówanie się do posługi heretykom, Żydom i niewiernym z odmówieniem na zawołanie Księdza Plebana do uprawiania ziemi świętej, jako kapłańskiej i błogosławionej. Przystąpiono do drugiej ceremonii za mykania w obrocze żelazne: organista głosem wyniesionym z dużej księgi czytał przezwinięcia i przyczynę kar: za uchybienie na mszy, za nieposłuszeństwo kościołowi świętemu i jego sługom, za pochwylenie przed nadchodzącą burzą w dzień święty siana i snopków ścietych i tym podobne. W niedostatku żelaza powrozami krepowano innych, do południowej pory wystawiając na widok rozrzuconym rodzicom i krewnym, a obcym na szyderstwo”.

To są przewinienia najcięższe. Z kolei następują mniejsze przestępstwa. Rzeczony dystynkcje mają podkreślić istotę umoralniającą działalności duszpasterza. Ze względów obyczajowych są one tak ciekawe, że warto przy nich na chwilę zatrzymać jeszcze uwagę:

„...za nieumienie pacierzy, katechizmu i tym podobnych rzeczy rozkazywano różne robić postawy, rozciągając ręce, wyciągając się na ziemi, na kolanach wleźć się koło kościoła, a po zakończonej pokucie odpłacać do karbowy grzechy i przez dziada oblewać wodą święconą braci krzyż do pocałowania. Rozumiałem — opowiada narrator — iż się już na tym zakończyły święte upomnienia, aż w tym właśnie czasie wprowadza się procesja z okrzykiem, wysmianiem i skazywaniem palcami. Kilka osób szły w niej z przyprowadzonymi rogami do głowy za niepowściągliwość, jakoby dopatrzoną żon i

własne ułomności. Dziewki przybrane miały w słomiane wieńce głowy, a niektóre w rękach trzymały bałwanki z drzewa; miały to być znaki płochości dowiedzionej z podejrzania i ze skutków”.

Do tej z zacięciem antyklerykalnego satyryka nakreślonej figury plebana wiejskiego przybywa jeszcze kilka mniej wyrazistych.

Śród galerii dotychczas poznanych plebanów nie było ani jednego, któryby stawał na poprzek dążeniom „dobrych panów” zmniejszających dla humanitarnych lub gospodarczych pobudek ciężary i delegiwości chłopskie. Z figurą taką spotykamy się teraz dopiero. Spotkany w podróży przyjaciel opowiada o przeprawach rodziców narratora z ich plebanem. Zwięźła opowieść o zamierzeniach i czynach rodziców narratora może być traktowana jako ubocznie zaznaczony motyw „dobrego pana”. Podejmują oni starania mające podnieść gospodarkę przez zakładanie nowych osad i poprawić dolę chłopów. W tym celu rezygnują najpierw ze swej zwierzęcości sądowej w sporach między poddanymi na rzecz ich samych. Dalej, licząc się z korzyściami, jakie to może później dać, nie szczędzą nakładów i zapomóg dla nowoosiedleńców. Wreszcie zaś zachęcają swych poddanych do czystości, dbałości o ubiór i inne wygody życia. Nie trudno dostrzec, że czynią niewiele w stosunku do swych protagonistów powieściowych, którzy zadania swe pojmowali szerzej i głębiej ale i w tych wątkach usiłowaniach przeszkadza im pleban. Przywłaszcza więc sobie władzę sądowniczą nad poddanymi. Nie łożąc żadnych nakładów, chce natychmiastowych świadczeń na swoją rzecz od nowoosiedleńców. Dbałości chłopów o czystość, przyzwoity ubiór i wygody życia przyganiał, zdzierał nawet odzież i wykładał winnych, uważając te rzeczy za nieprzyzwoite i przeciwnie podłości kmieci. „Cóż dopiero mówić o lichwach, zdzierstwach, targach duchownych, o władzy pozwalania i zabrania służby i robót, jak on nazywał, niewiernym, przy innych zdrożnościach przez skromność nie mogących się wyjawiać” — kończy autor.

Trudno się domyśleć o jakich to zdrożnościach przeciwnych skromności mowa. Do przypuszczenia, że chodzi tu o wyszysk seksualny nie upoważnia nas nic poza zestawieniem, dość bałamutnym zresztą, samych słów: zdrożność i skromność. Nawet wyszysk gospodarczy i religijny — choć oczywisty — jest ogólnikowo zaznaczony. Dopiero następne exemplum precyzuje bliżej niektóre jego strony.

Narrator w karczmie, w której zatrzymał się popasem, widzi zrozpaczonych i zapłakanych ludzi, bo ksiądz odmówił im posług religijnych, jako, że nie mieli ich czym opłacić. Są to dwie pary „zabierające się do stanu małżeńskiego”, które ksiądz odpędził od ołtarza, oraz „mąż zmarłej żony z kilkoma drobnych dziełat, chcący pogrześć swoją małżonkę, dla której własnymi rękoma z dziećmi dół wykopał i łzami polał, ksiądz zaś nie pozwalał złożyć ciała, póki mu nie opłaci za miejsce...”. Przyszli oni wszyscy szukać miłosierdzia u Żyda-karczmarza, zapisując się mu się do wysługi i wyrobku za pożyczanie pieniędzy. Karczmarz, potwierdzając prawdziwość tego, co mówią chłopci, zaznacza, że za niego takiego zdzierstwa nie było. Zdumionemu tym zwrotem narratorowi wyjaśnia, że gdy plebanem w tej wiosce był ksiądz Matematata (matematyk), „zrendował” jemu całą plebanię i wszystkie dochody kościelne, zdawszy mu zupełny rząd i moc targowania się za chrzty, śluby i pogrzeby, a on był obowiązany sprowadzać księdza na dni święte do nabożeństwa i że borgował ludziom nie mającym sposobu opłacenia się... Obecny zaś duszpasterz szlachcicowi wypuścił wioskę, a księdzu komendarzowi na całe jego życie i wszystkie potrzeby zaarendował śluby, chrzty i pogrzeby. Ten to ksiądz komendarz musi i sam z tego żyć i ludzi opłacać i ks. karcownikowi (plebanowi) sumę pewną na rok oddawać i on to tak uciska chłopów.

Sprawa wyzysku religijnego odczuwa się później w którejś — niestety, z powodu zniszczenia materiałów, nie pomnę której — powieści naszej pierwszej połowy XIX wieku, z tą wszakże różnicą, że klucze od cerkwi prawosławnej, bo rzecz toczy się na Ukrainie, oddaje pan w arendę Żydowi-karczmarzowi.

Na tak podmalowanym tle, na tle „złych plebanów” występuje działalność „dobrego plebana”. O postaci samej nie wiele po-

wiedzieć można. Dowiadujemy się, że wiodzi się z ubogiej szlachty, bo rodzice jego mieli tylko włókę gruntu i stąd skromność i umiarkowanie są jego cnótami. Cnót tych zresztą posiada więcej, nawet za wiele, jak na jednego człowieka.

„...Na celu widoku mojego — oświadcza prawie na wstępie — była szczęśliwość wieczna i doczesna moich parafianów, a te jako rodzone siostry, zdawały mi się jednym być spojone ogniem. Rozumiałem, iż w po-myślności każdy człowiek prędzej winien podnosić duszę do Boga dawcy dobra, mając zdrowie przydające siłę rozumowi do tym jaśniejszego poznania prawdy i zakochania cnoty”.

Cele wytyczone przez Księdza Plebana wykraczały poza granice tradycyjnie pojętych obowiązków i kompetencji wiejskiego plebana. Jego troska o parafian-chłopów, szeroko pojęta, jak potem zobaczymy — kolidować mogła z uprawnieniami panów, do których wsie wchodzące w obręb parafii — należały, a na pewno każda inicjatywa gospodarza podjęta przez niego musiała się liczyć z oporem czy oporami wynikającymi z różnorodnych postaw panów wobec poddanych. Autor rozwiązuje te trudności łatwo, dając wyrażenie do zupełnej swobody w przedstawieniu idealnej społeczności kierowanej przez Księdza Plebana. Łatwość z jaką uprząta sobie grunt pod gmach owej społeczności nasuwa dwa przypuszczenia, dające się zresztą od siebie pogodzić. Pierwsze, formułowane już poprzednio, że partia romansu objęta motytem „dobrego plebana” jest katolicką utopią społeczną, drugie zaś — nieco dziwne, jeśli chodzi o Kossakowskiego — że ta utopia ma pretensje do generalnego rozwiązania problemów ówczesnej wsi w sensie pożądanym przez kameralistów, z pewnymi jednak modyfikacjami. Ponad interes państwa i jego prawo do ingerencji w stosunki gospodarczo-społeczne narodu, co — jak wiadomo — było kamieniem węgielnym kameralistyki, wynosi Kossakowski raczej inne: religijno-moralne, ale twór jego społeczny nawet w szczegółach wielu przypomina organizm państwowy i co ważniejsze taki, jakiego pragnął sobie ówczesnie należało.

Liczna ludność posiadająca dostateczny dochód oraz uznanie dochodu narodowego za jedyne istotne źródło dochodu i siły państwa, a więc idee zbliżające do kameralistyki znajdują pełny wyraz w działalności Księdza Plebana.

Zaczyna swą pracę — tak, jak pojmował ją Pan Podstoli — od nauki skierowanej do panów. O ile jednak w argumentacji Pana Podstolego przemawiającego za polepszeniem doli chłopów przeważają motywy gospodarcze, to Ksiądz Pleban Kossakowskiego chętniej sięga do arsenału argumentów moralno-teologicznych. Kossakowskiemu na pewno udało się przewyższyć swój wóz tzn. Pana Podstolego pod względem jakości i ilości osiągnięć społecznych, w obrębie swego romansu, ale okupił to ceną zbyt wielką, bo zapłacił nieprawdopodobieństwem swego modelu. Chcąc przeciwstawić się kameralistom pod względem drogi, jaką należy wybrać dla osiągnięcia tego samego celu, uzależnił byt swej konstrukcji społecznej od dobrodziejstwa, umiarkowania i innych cnót moralnych panów. Wszystkie punkty dobrowolnej umowy, jaką łatwo dało się osiągnąć Księdzu Plebanowi między panami a ich poddanymi, łącznie z „trzecim snopem”, są w świetle ówczesnej praktyki problematyczne, w istocie bowiem mobilizują do sporów o nie całe społeczeństwo, choć leżą w obrębie teorii fizjokratów, bliskiej tradycyjnym poglądom gospodarczym szlachty. Autor ominąwszy trudność udaje, że ją przezwyciężył.

Rozejrzyjmy się teraz dokładniej w budowlę wzniesioną przez niego.

Rozpocząć wypada od przeciwstawienia kwitującego stanu gospodarczego całej parafii zaniedbanu wsi cytowanemu na wstępie. Obowiązuje tu, rzecz prosta, schemat, z którym wypadło już kilkakrotnie zetknąć się czytelnikowi w ciągu niniejszej pracy. A więc drogi w parafii są porządnie usypane, wyprostowane i „różnym drzewem rozrosłym wysadzone”; mosty „gruntowne i bezpieczne”; lasy „dla przyszłego wzrostu podkrępane” i oczyszczone z gałęzi i zawałin; wsie obfitujące w sady i chmielniki; domostwa na wysokim podmurowaniu „z kominami na dach wyniesionymi i oknami światłymi”; ludzie dobrze ubrani, cery zdrowej, weseli, nujący przy pracy zgodnym tonem piosenki; trzody bydła liczne i wypasione etc.

To są znamiona szczęśliwości i zamożności mieszkańców parafii. Reformę poczyną Ksiądz Pleban od podstaw, tzn. od oczyszczenia źródeł moralności, usunięcia przeszkód utrudniających poprawę bytu parafianów. Ciemnota, arendarze Żydzi i nieumiejętne nauczanie zasad religii — to dla niego sprawy najważniejsze. Ze skwapliwością autor zajmuje się sprawą Żydów, wysuwając ją niejako na czoło. Tłumaczy tedy panom najpierw gruntowne pożytki z oświaty poddanych, naturalnie oświaty dostosowanej do ich stanu, biorąc na siebie opiekę nad charakterem i wykonaniem edukacji. Dalej zaś perswaduje panom skodliwość Żydów-arendarzy, zarzucając im szalbierstwa, oszustwa, rozbudzenie nienawiści ku panom, buntowanie poddanych i wreszcie odwołanie od zasad moralności nauczanej przez plebana. W końcu walczy Ksiądz Pleban z zabobonem i fałszywą po- bożnością wynikającą z bierności życiowej.

Budowa kościoła wspólnym wysiłkiem wszystkich parafian — to najpoważniejsze dzieło Księdza Plebana, z którym się stykamy na początku jego działalności. Uspokojenie osiągnięte przy tym, będące próbą solidaryzmu chrześcijańskiego i przysposobienie ludzi do nieznanych im wyższych funkcji gospodarczych staje się dodatkowym ważkim efektem wychowawczo-gospodarczym. Parafianie, szlachta i pospólstwo, za przykładem swego pasterza podążając, uczą się ofiarnej pracy dla społeczeństwa, którym jest gmina religijna. Przy kościele tworzy Ksiądz Pleban archiwum i bibliotekę publiczną. Kustoszem jest Ksiądz Komendarz, służący radą i informacjami wypożyczającym książki.

Chcąc podnieść stan zarówno chłopów, a jak wiemy na oku ma Ksiądz Pleban podniesienie załudnienia parafii, usuwa za wzorem Pana Podstolego główną przyczynę śmiertelności wiejskiej, tzn. nieodpowiadające wymaganiom higieny domostwa, inicjując budowę nowych. Akcja Księdza Plebana polega na tym, by zyskać przychyłność panów i ich pomoc, nie obciążając ich jednak kosztami, co charakterystyczne, chłopów zaś pobudzić do społecznego wysiłku, mają oni bowiem w zespolach po dziesięć gospodarstw wzajem sobie co rok jeden dom wystawiać nowy, korzystając z pomocy parafialnej kasy miłosierdzia, czegoś w rodzaju instytucji bankowej, w zakresie zaopatrywania w cegłę na podmurowania, kominy i kuchnie oraz szkło do okien. Uspokojenie sięga nawet w dziedzinę indywidualnych gospodarstw, bo każda wieś buduje sobie dla zdrowia, leczy pieczeństwa i oszczędności pickarnię. Wyższe potrzeby wymagają zróżnicowanych i stałych funkcji i na tym tle pojawiają się w parafii rzemieślnicy: garncarz, cieśla, szklarz, stolarz i kowal, rezydujący we wsi kościelnej w budynkach parafialnych, za co wnoszą odpowiednie opłaty do kasy miłosierdzia. Są także: kapelusznik, garbarz, szewc, krawcy, sukiennicy i kupiec, by służyć potrzebom rolników, jak to sobie wyobrażali fizjokraci. Jedni z nich są także „lekarzami ludzkimi”, dostarczając bowiem tanio swych wyrobów, chronią chłopów przed chorobami wynikającymi z braku nieodpowiedniej odzieży i obuwia, inni służą swą pracą ku wygodzie i ozdobie życia, co zachęca rolników do wyleżonej pracy i „przemysłu”.

Informacje o akcji profilaktycznej kończy wzmianka, że Ksiądz Pleban ogłasza zawsze z ambony kiedy i jakich owoców używać się już godzi, bo właśnie ze względów dietetyczno-zdrowotnych (zwłaszcza dla zapobieżenia skorbutowi) propaguje wśród swoich parafian sadownictwo, oraz, że przy szpitalu istnieje izba szczepienia ospy. Szczegół to dosyć ciekawy — nawiasem mówiąc — jeśli się zważy, że Jenner dopiero w r. 1796 zaczął stosować szczepienia ochronne. Skoro zaś już wypadło mówić o szpitalu, dodajmy, że poza szpitalem parafialnym, każda wieś ma swój szpital dla zakaźnie chorych, a pieczę lekarską nad nimi sprawuje felczer utrzymywany kosztem parafii.

Po tych zabiegach w celu podniesienia stanu zdrowotnego wsi i zmniejszenia śmiertelności idzie staranie o poziom życia obyczajowego. Służy temu celowi dom parafialny. W nim to odbywają się obecnie ucztę weselne i tym podobne uroczystości, wypierając dawny dziki zwyczaj weseł i biesiad wiejskich „opilstwem i ceremoniami skromność i cnotę obrażających”.

„...Gromadzą się tu zaproszeni przed dniem ślubu, bawia się skromnie dzień cały, następujący na tychże przepędzając rozryw- kach rozjeżdżaniem się do domów własnych

*) Patrz. „Wieś” nr 27—28 (106—107) i 30 (109).

w wieczór kończą akt wesela. Gospodarza domu jest powinnością utrzymywać muzykanta, naczynia do jedzenia i sporządzić bankiet równy i jednolity dla każdego za umówioną raz na zawsze cenę i za przepisana ustawą potraw i napojów od osoby. Nasza przytomność pomaga do hamowania wszelkiej nieprzyzwoitości”.

Ten sam dom służy przybywającym na nabożeństwa w święta za miejsce psalnika i odpoczynku. Tutaj też odbywają się seanse brackie, sądy i rządy, a także ogniskuje się w nim życie rozrywkowe parafii.

Troska o oświatę ludu znajduje wyraz w założeniu szkoły parafialnej i sieci szkółek wiejskich, wyposażeń ich w odpowiednie warunki, związaniu z potrzebami i życiem chłopów i nastawieniu całej szeroko pojętej edukacji na wyższe wzory obyczajowe i gospodarcze. W związku z tym Ksiądz Pleban nie poprzestaje na ogólnej pieczy nad nauczaniem. Redaguje dla chłopów co tygodniowe pismo moralne, dostosowane do ich poziomu, zainteresowań i potrzeb, prototyp jakby wydawanego później przez Krasickiego w latach 1798 i 1799 czasopisma „Co tydzień”. Dużą wagę przywiązuje Ksiądz Pleban — jak Pan Podstoli — do osobistego oddziaływania na dzieci chłopskie, dzieląc się z nimi wiedzą i doświadczeniem podczas wycieczek do ogrodu księży, w pole czy do budowy.

Wieniec dzieła społeczne Księdza Plebana opieka społeczna nad kalekami i ubogimi. Istnieje tedy dom dla starców i kalek, jest on jednak tylko niezbędnym uzupełnieniem idealnych stosunków społecznych, a nie uniwersalnym lekiem filantropii na krzywdę, nędzę i żebractwo. Poprawa dolę chłopów, wpojenie w nich obowiązku opieki nad niedołężnymi, krewnymi przy łatwości utrzymania ich w kraju rolniczym, rozsądek w szafowaniu jałmużną, ubezpieczenia od losowych niepowodzeń, usunięcie źródła ubóstwa i żebractwa w parafii. Dom starców i kalek mieści tylko tych, którzy niezbędnie wymagają opieki zbiorowości nad sobą. Nim jednak uporano się z plagą żebractwa obciąża ono poważnie parafię. Obecnie, w jednym z domów, przeznaczonych dawniej na ten cel, mieści się dom poprawy dla uciążliwej młodzieży. Pieczę nad nią sprawują wystąpienia żołnierze, których dodatkowym obowiązkiem jest ćwiczenie jej w mistrze woj-skowej; kalekami zaś i chorymi w całej parafii opiekują się „siostry miłosierdzia”, rekrutujące się spośród wdów żyjących przy parafii na dewocji. Parafia utrzymuje je także za ich usługi prawdziwie pobożne i pożyteczne. Sierotom w parafii organizuje się rodziny zastępcze.

Podstawę ekonomiczną reformatorycznych poczynań parafii stanowi kasa miłosierdzia. Fundusze jej pochodzą z dochodów z plebańskiej propinacji i opłat za wszelkiego rodzaju usługi kościelne, zrezygnował z nich bowiem na rzecz kasy Ksiądz Pleban, uważając „rolę plebańską” za dostateczny środek swego utrzymania. Kasa znajduje się we władaniu rady parafialnej, w której obowiązuje równość emokratyczna. Rada ta podejmuje inicjatywę gospodarczą i społeczną na wielu odcinkach, finansując przedsięwzięcia z funduszy kasy. Wspiera więc budowę kościoła, wznosi budynki dla instytucji parafialnych, dostarcza chłopom do budowy ich domostw cegły z własnej cegielni i szkła do okien, wspiera gospodarzy dotkniętych klęskami pożaru, gradobicia, zarazy lub nieurodzaju, przeprowadza sposobem szarwarkowym — jak Chreptowicz w swej majętności — meliorację gruntów i budowę dróg, wreszcie organizuje dla całej parafii z wykluczeniem pośredników, zbyt produktów rolnych i zakup artykułów rolnikom potrzebnych. Tu warto zauważyć, że autor nie waha się wystąpić przeciw panom, którzy sobie zyski nieprzyzwoite, jako:

„Z przemysłu pochodzące, rozumieją być sprawiedliwymi, według woli podnosząc cenę i na własność narzucając poniewolnie, a tym samym biorąc na siebie rzeszę przekupniów uciemiężających i oszukujących własne poddaństwo pod pozornym tytułem pana z zniszczeniem oraz miast, poddanych i często-kroć samych siebie dla zawodów i niepiłności swoich szafarzów, otwierając jeszcze i dla tych wrota zdzierstwa i szalbierstwa”.

W cytowanym zdaniu dochodzi raz tylko zdecydowanie do głosu kłótnia między interesami panów i poddanych w Księdzu Plebanie.

Tak oto przedstawia się sprawa motywu „dobrego plebana” i innych, towarzyszących mu w romansie Kossakowskiego. Czy jest to romans? Autor protestuje przeciw traktowaniu jego opowieści o „dobrym plebanie” jako romansu „bo zawiera (ona) rzeczy „nie imaginacją potworzone, ale istotne, które być mogły i mogą”, czym mimowoli wyprzedza wypowiedziane później przez kogoś dowcipne powiedzenie, że „historia mówi o tym, jak się rzeczy działy, powieść zaś, jak się dążyć mogły”.

Zdzisław Skwareczyński

Norman P. Caulfield (K. P. Nowak)

Na przełaj przez amerykański lipiec

U.S.A. w lipcu 1947 r.

Jak zwykle tak i w lipcu, mają Stany Zjednoczone swoje zmartwienia i niepokoje, które nic dobrego nie wróżą. Po szalejących w stanach Iowa, Illinois i Missouri powodziach spowodowanych deszczami i wylewem rzek Missisipi, Missouri i Des Moines, które zatopiły tysiące hektarów uprawnej ziemi i zniszczyły w poważnym stopniu zasiewy kukurydzy, jednego z najważniejszych produktów rolnych Ameryki — wyrastają nowe troski, tym razem w miastach. Troski spowodowane, po pierwsze — ciągłym drożeniem produktów żywnościowych i odzieży, po drugie — nowym prawem robotniczym, a raczej antyrobotniczym tzw. aktem Tafta - Hartley'a — od nazwisk jego autorów. Drożyzna przybiera coraz groźniejsze rozmiary. Od chwili zniesienia kontroli cen, tzw. O.P.A. w lipcu zeszłego roku, ceny podniosły się niekiedy do 152 proc., najmniej zaś do 108 proc., podczas gdy zarobki pracownice wzrosły za ledwie o 6 do 12 proc. Ostatnie zniesienie kontroli komornego i wybryki kamieniczników podnoszących komorne, jak np. w Nowym Jorku, o 300 proc. — powodują zmartwienia i troski miast. Potęguje je zaś jeszcze akt Tafta - Hartley'a, zabraniający robotnikom walki z potężną organizacją fabrykancką N.A.M. — która jedyna jest odpowiedzialna za obniżanie zarobków, podnoszenie cen, znikanie produktów z rynku i ich sztuczny brak.

Ów akt Tafta - Hartley'a, który miał ponoć wewnętrznie wzmocnić Amerykę, na pewno jej poważnie zaszkodził, wywołując nie tylko niepokój panujący już obecnie, ale i zamieszki robotnicze. W kraju rozpoczynają się ciągle bójki i nawet bójki z policją. W Remington - Rand, sławnych zakładach automobilowych walki trwały trzy dni i policja nie mogąc dać sobie rady z robotnikami przy pomocy pałec i wody, musiała zawezwać do pomocy wojsko, które też jest bezsilne.

Jest to dopiero początek. Wiosną przyszłego roku, przy zawieraniu nowych kontraktów, o ile prawo Tafta - Hartley'a nie zostanie cofnięte, dojdzie zapewne do poważnego kryzysu i rozruchów. Robotnicy amerykańscy są zdecydowani walczyć o swoje prawa — uparcie z poświęceniem, jak to już nieraz czynili. C.I.O. — Związek zawodowy prowadzący tę walkę z coraz większym rozmachem popierane przez Am. Federację Pracy i Bractwo Kolejarzy. Napływają nowi ludzie, nowi zwolennicy ruchu reprezentowanego przez C.I.O. — farmerzy, rzemieślnicy, drobni kupcy zarzynani konkurencją wielkich departamentowych sklepów i domów towarowych. Ten akt okazał się naprawdę burmangiem — raniąc dotkliwie pracę ugodził głównie jego autorów i sponsorów. Robotnicy obudzili się i podejmują walkę!

Dziś już wiadomo, że autorstwo aktu zaszkodziło tak poważnie sen. Taftowi, że nie może on w ogóle marzyć o nominacji na prezydenta U.S.A. z ramienia partii republikańskiej. Pocięty jest gubernator Dewey i generał Mc Arthur jako czołowi amatorzy prezydentury.

Górnicy amerykańscy na wieść o uchwaleniu nowego prawa antyrobotniczego powiesili swe czapki na kółkach i wyszli z oświadczeniem: „niech Taft kopie węgiel”. I nie wrócili do pracy tak długo, dopóki nie dostali poważnej podwyżki i ubezpieczenia na starość.

Tak więc brak węgla chwilowo przynajmniej zażegnano i ponowne zaciemnienie nie grozi Ameryce — za to brak stali jest coraz dokuczliwszy. Jak się to dzieje, że w wielkiej Ameryce, kraju nieprzebranych surowców brak jest stali — trudno wytłumaczyć prostemu człowiekowi — ale stali nie ma dużo, jest coraz mniej i z początkiem stycznia ma jej braknąć zupełnie. Po poprzednich machinacjach naftowych i wprowadzeniu kartek na benzynę, na środkowym zachodzie — brak stali uderza w przemysł i w produkcję amerykańską i może spowodować depresję. W ostatnich kilku dniach, w Detroit, w centrum przemysłu automobilowego, jedna tylko korporacja General Motor,

zwolniła z pracy 115 tysięcy robotników z powodu braku stali. Unia robotników automobilowych żąda dochodzenia w tej sprawie jak i kontroli produkcji stali — ale nie wygląda na to, aby rozjeżdżający się do domu Kongres taką ustawę powziął — lub w ogóle o niej pomyślał... Będziemy więc mieć dalej „wolną konkurencję”, kontrolowaną przez wielkie trusty i kartele — oraz prawdopodobnie bezrobocie. Do tego bowiem doprowadza gospodarka garstki rekinów przemysłowych nie kontrolowanych przez żadną władzę, wobec których naród jest bezsilny.

Nie lada sensacją lipcową były latające dyski, okrągłe przedmioty, bliżej nieokreślone, latające w stratosferze i sensacją są do dziś. Przyszło to z początkiem miesiąca. Początkowo meldowali o tych „dyskach” piloci amerykańscy — ale im nie uwierzono. Dopiero gdy setki i tysiące osób „dyski” widziało — w tym poważni dziennikarze — uwierzono w ich istnienie. Dyski te nadlatywały z zachodu, od Pacyfiku i widywano je aż do linii rzeki Missisipi. Leciły zwykle na wielkiej wysokości i nikt nie mógł nic pewnego o nich powiedzieć, poza niezbitym faktem ich istnienia. Opowiadano na ich temat najfantastyczniejsze historie. W Chicago opowiedziała mi pewna kobieta, że „znużony dysk, oczekujący krwi i machający rozpaczliwie rękoma i nogami usiadł na werandzie jej domu”. Według jej opowiadania było to stworzenie boskie, wymiarami i wyglądem przypominające błotnego żółwia. W St. Louis policjant powiedział mi, że widział dysk wielkości kamienicy, a na nim stojących zielonych ludzi. Strzelili nawet do nich, ale nie trafił. W Manhattan, w sercu Nowego Jorku, przysięgał mi jeden z przechodniów, że widział „dyski” lecące w kluczu, jak dzikie gęsi jesienią. W Indianapolis słyszałem huk motorów dysków, latających gdzieś indziej bezszelestnie. A w Milwaukee powiedział mi pewien stary Yankee:

— „Tu wygadują bajki, że ci ludzie z Marsa, siedzący na dyskach, mają po 7 par oczu. To bzdura!”.

— „A ile też mają?” zapytałem —

— Po pięć, boy, po pięć?... Osobiście wypatrywałem po niebie przez wiele dni i nocy niespanych. Nic nie zauważyłem. Być może dlatego, że nie byłem na Dalekim Zachodzie, być może nie jestem go-dzien. I mówiąc pomiędzy nami, zapisałbym te dyski na konto chorobliwej wyobraźni amerykańskiej — gdyby nie fakt że USA-Forces (lotnictwo) sprawę traktuje poważnie i w dalszym ciągu szuka. Kto dostarcza taki dysk, dostanie 3 tysiące dolarów. Kto dysk zobaczy, ma natychmiast telefonować do najbliższej bazy lotniczej.

Orson Welles, autor słuchowiska radiowego w 1938 roku, przedstawiającego rzekomy nalot z Marsa, podczas którego wybuchnęła panika (ludzie wariowali ze strachu i wyskakiwali przez okna na ulicę), żeżnaje, że z dyskami nie wspólnego nie ma. Wierzę mu, gdyż obecnie zajęty jest przepraszaniem swej żony, cudnej tancerki Rity Hayworth. Dziś dzienniki wmawiają ludziskom, że te dyski to „cienie chmur” (na bezchmurnym niebie), cienie ptaków i samolotów, „fata morgana”, plamy na słońcu... Inni twierdzą, że za tym „coś jest”. Jedni twierdzą, że jest to nowa broń amerykańska, inni, że „oczy kosmiczne” i przyrządy obserwacyjne, wysyłane z Marsa — jeszcze inni — że to tajemnicza broń wysyłana przez pewne potężne państwo wschodnio - europejskie. Panuje ogólne mniemanie o trafności tej trzeciej wersji, nawet niektóre pisma wspominają czy warto krzyknąć o sile bomby atomowej, wobec tajemniczości tej nowej „broni”. Dotychczas zgłosiły się tłumy ludzi dostarczając „dyski” — ale jak dotychczas na „dysk” prawdziwy nie natrafiono. Zniesione przedmioty okazały się pułapkami na szczury, dnami nocników, szczątkami balonów itp. przedmiotami pierwszej potrzeby.

Sprawa dysków zwróciła oczy narodu amerykańskiego na wzrastającą militarnizację ich kraju. Tradycyjna „cywilność”

Ameryki stała się dziś bajką dla dużych dzieci. Jak/nigdy przedtem w historii, na najwyższych urządach nagromadzono generałów i wyższych oficerów. Szara eminenca Białego Domu, pozakulisowy reżyser i autor całokształtu polityki amerykańskiej, admirał Leahy, potrafił wprowadzić całą rzeszę wojskowych na wszystkie urzędy. Obok gen. Marshalla jako sekretarza stanu po ustąpieniu sekretarza wojny Pettersona na skład gabinetu amerykańskiego wszedł drugi wojskowy generał Royal. Oprócz tego jest pięciu generałów ambasadorami i cały szereg zajmują stanowiska szefów różnych wydziałów, misyj i komisji.

Co trzeźwiejsi twierdzą, że jest to straszna groźba dla Ameryki, że Stany Zjednoczone stoją w obliczu przewrotu wewnętrznego — co będzie miało w skutkach objęcie władzy w żelazne ręce głodnych panowania generałów (najczęściej pochodzenia niemieckiego) z admirałem Leahy — lub jego rywalem, gen. Mc. Arthur na czele. Nie będzie to jednak dla generałów zadanie łatwe — będą mieli do zwalczania nie tylko ruch robotniczy, ale i dawne tradycje miłującej wolność Ameryki. I jeśli mają trochę rozumu w swych upartych głowach, to zahamują swe libido dominandi.

Dużo się także mówi o udostępnieniu publiczności pism prezydenta Abrahama Lincolna. Lincoln, jeden z najgłośniejszych prezydentów Ameryki, człowiek, który obalił niewolnictwo w Ameryce, był właściwie postacią tajemniczą. Po jego tragicznej śmierci wszystkie papiery, dokumenty, listy należące doń, zostały zagarnięte przez syna i zazdrośnie strzeżone. Żaden człowiek nie miał do nich dostępu, nikt nie wie co w nich właśnie było. Kilkakrotne próby dostania się do akt Lincolna, kończyły się awanturami i groźbami ze strony upartego syna, który dopiero umierając zapisał te dokumenty narodowi amerykańskiemu z tym warunkiem, że wolno je będzie obejrzeć w 21 lat po jego śmierci. Data ta przypada w sobotę 26 lipca. Z całego kraju udają się do Waszyngtonu wycieczki i delegacje, aby wziąć udział w tej niezwyklej uroczystości. Wielbicieli Lincolna sądzą, że otworzone akta otoczą go jeszcze chwałą, przeciwnicy, zwłaszcza południowcy, potomkowie konfederatów i secesjonistów, cieszą się, że wyjdzie nareszcie na jaw, kim był właściwie Lincoln. Trudno dziś powiedzieć, jak tam będzie — nie sądzę jednak, aby Ameryka miała zdegradować jednego ze swych największych bohaterów, będącego również bohaterem ludzkości miłującej wolność.

URZĄD WOJEWÓDZKI POZNAŃSKI
WYDZIAŁ OŚWIATY ROLNICZEJ
w POZNANIU, Plac Wolności Nr 14

poszukuje kandydatów na stanowiska:

POWIATOWYCH INSPEKTORÓW OŚWIATY
ROLNICZEJ przy Starostwach Powiatowych
w województwie POZNAŃSKIM.

Do zakresu prac Powiatowego Inspektora Oświaty Rolniczej należą:

1. Administracja gminnym i państwowym szkołami rolniczymi oraz gospodarstwami szkół rolniczych.
2. Nadzór pedagogiczny nad szkołami poddanych pod I.
3. Kierowanie sprawami Przysposobienia Rolniczego i Wojskowego.
4. Kierowanie tymi sprawami oświaty rolniczej w powiecie, które wchodzi w zakres prac Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych — Departamentu Oświaty Rolniczej.

Od kandydatów wymaga się: Wyższego lub przynajmniej pełnego średniego wykształcenia rolniczego z praktyką rolniczą, kwalifikacjami pedagogicznymi i pracą w organizacjach lub agnomicz społecznej. Brani są również pod uwagę kandydaci z innym wyższym lub średnim wykształceniem, jednak ściśle związani z życiem kulturalnym i społecznym wsi.

Pozatym poszukuje Urząd Wojewódzki

DYREKTORÓW KIEROWNIKÓW (czek) i NAUCZYCIELI (lek) dla średnich i niższych szkół rolniczych.

Wnioski z życiorysami i odpisami świadectw kierować pod adresem:

Urząd Wojewódzki Poznański — Wydział Oświaty Rolniczej w Poznaniu, Plac Wolności Nr 14.

Józef Wiech

Wieś mojego ojca, Wincenty Rzepka, „Wieś” mojej żony

Gawęda

Czy jestem chłopem?

Takie pytanie postawiłem sobie, gdy przeczytałem w Nr. 23 „Wsi” rozmowę na temat: „Kto jest chłopem”. I to pytanie nie daje mi spokoju. Czy ja mogę się przyznawać do chłopów nie narażając się na podejrzenie, że mam w tym jakiś osobisty interes na względzie.

Jestem rzemieślnikiem i moje rzemiosło nie jest specjalnie związane ze wsią, mieszkam w mieście. Urodziłem się w dużym mieście fabrycznym. Do snu kołysały mnie i budziły syreny fabryczne. Wieś znałem tylko z opowiadania rodziców, którzy do miasta przyjeżdżali z wsi, skąd ich wygnała bieda. Nieraz wieczorami zimowymi, matka nam opowiadała, jak to jest na wsi, wtedy sen nam uciekał z powiek i słuchałoby się tych opowiadań bez końca. To też wieś była moją tęsknotą i marzeniem. Pragnąłem ją ujrzeć więcej niż dziś pragnę poznać kraje egzotyczne.

Nie wiem jak długo by mi przyszło czekać na to, bym ujrział wieś, gdyby nie pierwsza wojna światowa. Wojna sprowadziła głód do miast i w następstwie głodu zaczął się odpływ ludności z miast w odwrotnym kierunku. Tak jak kiedyś za chlebem szli ludzie do miast, tak teraz szli go szukać na wsi. I ja też porwany tym odpływem, mając lat 15, znalazłem się na rodzinnej wsi mojego ojca. Pomimo, że do stacji kolejowej było około 3-ch kilometrów, lecz była to wieś wtłoczona w lasy, które ją z trzech stron otaczały, a strona wolna od lasu była zamknięta górą. Położenie miało śliczne, ale za to była najbardziej z okolicznych wsi. Bo skąd mogło tam być dobrze, jeżeli cały obszar miał 99 mórg pola, bez żadnych dodatków lub serwitutów i to podzielone na 15 gospodarstw i do tego jeszcze 3 domy tak zw. wyrobników, razem 128 osób ludności.

Można sobie wyobrazić jak by ci ludzie żyli, gdyby nie okoliczne lasy, które swymi bogactwami jak drzewo, kamienie, jagody i grzyby żywiły i odziewały ten lud. Wsiow. Dla mnie w pierwszej chwili, gdy tam się znalazłem, było najważniejsze to, że wieś moich marzeń nie zawiodła. Dała mi takie bogactwo wrażeń, że zdawało mi się, że jestem gdzieś daleko od tego kraju, w którym się urodziłem i żyję do tej pory. Brak chociażby jednej szkoły na terenie tej gminy, do której należała wieś, sprawił to, że wieś była oderwana zupełnie od cywilizacji. Wszystkie obyczaje ludowe były wiernie zachowane, jak za czasów dzieciństwa mego ojca, a może jeszcze dawniej. Tu żyło się inaczej niż na innych wsiach. Najważniejszą osobą i władzą był tu gajowy okolicznych lasów. Jego się tylko bano i co za tym idzie szanowano. Od jego humoru zależało porządzenie dnia, bo niech by się wziął i nie wpuszczał do lasu! Na kogo gajowy był nieśmiałym, ten i pobiedować musiał, zanim go w jakiś sposób nie ujednał sobie.

W takie to środowisko wszedłem i stopniowo jego prawom ulegać zacząłem. Z początku zaczęli się moi rówieśnicy naśmiewać z mego „mieskiego” sposobu mówienia, ale stopniowo zaczęłam przyswajając sobie ich mowę i gdy moje „mieskie szmaty” przedko wykończyły się po leśnych ostepach i matka uszyła mi ubranie ze zgrzebnego płótna lnia nego, niczym się już od nich nie różniłem. Lasy też już poznałem doskonale i bez przewodnika wszędzie trafiłem, a były to lasy nie małe, bo graniczyły z Puszcza Jodłową i zaliczały się do lasów Świętokrzyskich.

Opisując rodziną wieś ojca, nie mogę pominąć osoby Wincentego Rzepki. Był on szewcem z zawodu i dokładnie nie wiem skąd tu przybył, dosyć że się ożenił i od krewnych żony wydzierżawił plac, na nim zbudował dom niczym nie różniący się od innych domów i osiadł na stałe. Był bardzo dobrym szewcem, but jego roboty był bardzo wytrzymały, lecz szewstwo wykonywał niechętnie, za to chętnie leczył ludzi i bydło. Leczenie ludzi ograniczało się tylko do udzielania pierwszej pomocy tzn. smarowania, lewatywy i stawiania baniek, lecz u bydła podejmował się leczyć każdą chorobę i chętnie szedł o każdej porze w najdalsze okolice, gdzie go zapotrzebowano. Trzeba przyznać, że jako lekarz bydląt miał dobrą markę. Jego specjalnością było też pisanie listów od mieszkańców wsi do ich bliskich i krewnych, którzy wyjechali na roboty rolne do Niemiec i tam ich zastała wojna. W tych listach pisał zawsze wierszowany wstęp, a potem tradycyjnie: „W pierwszych słowach mego listu Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a spodziewom się kochany synu, że mi odpowiesz na wielki wieków Amen”, co normalnie z wierszowanym wstępem zajmowało pół listu. A jego niezaprzeczalną zasługą, którą położył na polu oświaty ludowej było to, że przez szereg zim uczył młodzież czytać i pisać i to nie tylko z tej wsi, ale i z okolicznych, bo jak zaznaczyłem na terenie tej gminy były 3 kościoły, a nie było szkoły i nikt się nie troszczył o oświatę wśród ludu. Jeden szewce Rzepka ze swej chaty robił szkołę i zimą schodziło się do niego około 50 dzieci obojga płci. Nie będę opisywał jakimi sposobami on nauczał, nie zawsze były one pedagogiczne, bo i bykowiec był często w robocie, jednak oświatę krzewił wśród ludu. Jeżeli on żyje jeszcze, powinien dzisiejszy rząd ludowy osłodzić jego ostatnie dni żywota, bo na to uczciwie zasłużył.

Muszę też napisać jak to Rzepce wytrąciłem z ręki jego rolę pisarza listów i nauczyciela ludowego. Gdy przyjechaliśmy na wieś, jedna nasza krewna chciała napisać list do syna do Niemiec. Jak zwykle zaszła z tym do Rzepki, ale Rzepka poszedł aż do drugiej gminy leżący konia i nie przedkładał wrócić, a tu list pilny, więc zaszła do nas i pyta, czy potrafię list napisać. Oczywiście list napisałem, bez tych różnych wstępów a starałem się stylem reporterskim opisać wszystko to ważniejsze, co stało się we wsi i okolicy i co mogło ich syna na obczyźnie interesować. Wkrótce przyszła odpowiedź i prośba, żeby tylko takie listy do nich pisać, bo list jest jak ewangelia czytany przez wszystkich. W ten sposób zająłem miejsce pisarza listów. Na jesieni chłopci zrobili naradę i przyszli do mnie z prośbą, żebym uczył ich synów i córki czytać i pisać, bo do Rzepki nie wszystkie dzieciaki chcą chodzić na naukę. Tak to mimo woli wyrwałem Rzepce dochód z tytułu nauczania dzieci. Przyznać muszę, że o to do mnie nie żywił żadnej urazy.

Za to dla mnie zaczęła się straszna harówka. Zaraz na początku zeszło się około 20 sztuk dzieci i z każdym dniem rodzice spruwali nowe. Do nauki przynosiłi różnego rodzaju książki a nawet modlitewniki. „Bo przecież przedziś tylko na takich uczyli się czytać”. Najwięcej pomocy w nauce miałem z elementarza Promyka. Gdy udało mi się dobrać grupkę o jednakowych podreęcznikach, tworzyłem komplet i w ten sposób ułatwiałem sobie naukę. Cały dzień chodziłem od grupki do grupki, od ucznia do ucznia i tak w kółło, ale końcowy rezultat był

taki, że przez parę miesięcy zimowych każdy uczeń umiał czytać i pisać, a zdolniejsi cośkolwiek rachować. W pierwszych dniach kwietnia szkoła zamykała swoje podwoje, by je otworzyć jesienią, gdy już roboty w polu były skończone a mrozy lub szarugi jesienne uniemożliwiały zwózkę liści i igliwa z lasu, bowiem jako podściółki pod bydło tylko tego używano, a każde zdobło słomy szło na pasze.

Teraz warto opisać samą szkołę: mieściła się ona w domu, w którym mieszkała moja rodzina. Rano wczesno gotowano śniadanie i po śniadaniu usuwano wszystko z domu, aby zdobyć jak najwięcej przestrzeni i wtedy wnoszono kozy, a na te kozy kładziono białe zbite ze zwykłych desek i to już były stoły. Ławki do siedzenia przynosiłi bliżej mieszkający uczniowie sami i te pozostawiali do końca roku szkolnego, tzn. do wczesnej wiosny. Ten system był stosowany i u Rzepki. Wieczorem wynoszono stoły i ławki i zamieniano izbę z powrotem na dom mieszkalny. Tak uczyłem przez lat trzy, t.j. do roku 1918, gdy odzyskaliśmy niepodległość i nasz rząd zaczął organizować szkolnictwo. Ja wkrótce poszedłem do nauki i rzemiosła i na wieś już nie wróciłem, jednakowoż kontaktu z wsią nie zerwałem i czuję się zawsze chłopem. Żona moja pochodzi ze wsi i nigdy na nią nie wpływam, żeby starała się mówić po „miesku”. Szanuję ją bardzo, za to ona szanuje moją „Wieś”. Czytuję różne gazety i to dużo i wszystkie wolno żonie brać na opakowanie i „pod placki”, tylko „Wsi” nie wolno. Taka między nami stała umowa i jest przez żonę ściśle respektowana. Więc czy mam prawo uważać się za chłopca?



Praktyczna nauka ogrodnictwa w Angli



Fot. SIB Photoservice

Kobiety wiejskie w ZSRR słuchają wykładu profesora Edelszteina specjalisty od warzywnictwa na Uniwersytecie Moskiewskim

KSIAŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

Jan Pócek — Zgrzebne pieśni — Ludowy Instytut Kultury, Łódź 1947 — str. 32.

Problemy Osadnictwa rolniczego — zeszyt II Biuro studiów osadniczo — przesiedleńczych — Kraków 1947.

Siewba — kwartalnik Uniwersytetów Ludowych styczni — czerwiec 1947 nr 1—2 Tow. Uniw. Lud. R.P.

Michał M. Borwicz — Organizowanie wsi: kłóści, słowo wstępne: Zofia Nałkowska. Wyd. ogólnopolskiej Ligi do walki z rasizmem. Warszawa 1947 r.

Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza” — Andre Maurois — Klimaty — Przekład Wacława Rogowicza — powieść — stron 230.

Ignazio Silone — Chleb i Wino — przekład Stefana Pomiana — powieść, stron 382

Tadeusz Manteuffel — Średniowiecze, stron 150

Zofia Szymanowska — Opowieść o naszym domu (Wspomnienia o Karolu Szymanowskim) stron 140.

Wydawnictwo Expressu Wieczornego — Kazimierz Wroczyński — Baczność — powieść — stron 232.

Leon Sobociński

W sprawie artykułu „Od Kmiotka do Żarania”

W zarysie historii czasopiśmiennictwa ludowego „Wieś” w nr 27—28, Henryk Syska bardzo trafnie przeprowadza różnicę pomiędzy kategorią pisma dla ludu i pisma ludowego.

Jest to różnica prawie niedostrzegalna, a jednak zasadnicza i od tej strony wspomniany zarys rozpatrując, uznać trzeba, że jest przemyślany gruntownie i opracowany dość wyczerpująco.

Nie mniej wszakże autor zarysu nie ustrzegł się błędów, tak zresztą zrozumiałego — skoro chodzi o teren prawie nietknięty, jak dzieje prasy ludowej.

Autor zarysu uważa, że pierwszym tego rodzaju (to jest czasopiśmiennictwa dla ludu) jest niewątpliwie „Przyjaciel Wiejski”, wydawany za czasów Księstwa Warszawskiego w Kałiszu 1811 roku.

Otóż tak nie jest. Pierwszym pismem dla ludu były „Gazety Śląskie dla ludu polskiego”, które się ukazały w r. 1790; prawdopodobnie we Wrocławiu.

Dlaczego piszę „prawdopodobnie”, a nie „niewątpliwie”? Po pierwsze dlatego, że w dziedzinie tak jeszcze nie zgłębionej dostatecznie, jak dzieje czasopiśmiennictwa w ogóle, a już ludowego w szczególności, ostrożność w formułowaniu pewników nie zawadzi.

Po drugie: — z dochoowanych szczątków „Gazet Śląskich dla ludu polskiego” nie można ustalić domicyliu ani drukarni, ani redakcji. Nie jest znany ani redaktor ani wydawca tego pisma.

Z tego czasopisma dochowała się zaledwie Kartka II z Miesiąca Lutego 1790 r. (tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty roku), a więc na 21 lat przed ukazaniem się „Przyjaciela Wiejskiego”.

Wszystko przemawia za tym, że czasopiśmiennictwo to ukazywało się na Dolnym Śląsku i że żywot tego wydawnictwa nie był zapewne długi. W każdym razie „Gazety Śląskie dla ludu polskiego”, które ukazały się wcześniej nawet aniżeli „Gazeta Narodowa” w Warszawie, są imponującym świadectwem polskości naszych ziem, przywróconych Polsce po tylu latach jarzma pruskiego.

Z kartki, jaka pozostała po tej „Gazecie Śląskiej dla ludu polskiego” trudno jest się zorientować jaki charakter miało to wydawnictwo.

To tylko jest rzeczą pewną, że poświęcone ono było życiu wsi chłopów dolnośląskich, gdyż pismo przynosiło rady praktyczne, gospodarcze pouczenia dla rolników a dotyczące chowu bydła, leczenia zwierząt domowych, wskazówki lekarskie, zalecające zachowanie, mimo, że z treści niektórych wzmianek i artykułów przebija tendencja walki z gusłami i zabobonem. Nazwałoby można te tendencje walką z ciemnotą.

Polszczyzna tych artykułów rejsowska, tęga, jedyna, dostosowana do poziomu wiejskich warstw pracujących.

Język nieozdobny, prosty, powszedni, taki jakim właśnie operuje szara ludowa polska, toś, tak jak mówi chłop do chłopca.

Oto przepis na leczenie oparzenia:

„Sparzywszy sobie palce albo rece, wrzuć garść popiołu do szklanki, albo garnuszka, przylej tyle octu (kwaśnego) tęgiego, aż się bryla gęsto stanie, a wraź do niej palce, albo przyłóż do członka spalonego a zawiąż. Boleści wnet ustąpią, a twarda pozostała skóra za kilka dni sama się odłupi”.

Przytoczyło się ten przepis z zachowaniem oryginalnej pisowni, w której zwraca uwagę szczegół, że brak niekiedy jest liter „i”, „a” i „ę”. Czy jest to wina korekty, czy to sprawa technicznych braków, w te rzeczy nie wchodzić.

Nie o to zresztą chodzi. Ważne jest że pierwsze pismo dla ludu ukazało się na Śląsku w końcu XVIII stulecia.

Niniejsza notatka nie ma na celu podważania solidności pracy autora „Zarysu historii czasopiśmiennictwa ludowego”, owszem tę solidność i duży wkład znajomości przedmiotu, wykazanego przez autora, z całym uznaniem podkreśla, nie mniej dla samej prawdy trzeba poprawić cyfrę nakładu „Gazety Grudziądzkiej” w latach 1909—1914 z 90.000 na przeszło 100.000.

Jest to szczegół o tyle ważny, że pismo niemieckie, jak „Geselliger”, powołane w Grudziądzu do utracenia „Gazety Gr.” nie mogło się pochwalić nawet połową tej ilości prenumeratów.

Z tego, że autor pominął w swym referacie „Gazetę Olsztyńską”, która przecież była założona przez ludzi spod strzechy chłopskiej, nie będę czynił zarzutów, gdyż autor sam przyznaje, że jego wyliczenie prasy ludowej czy dla ludu jest niekompletne.

Tak, czy inaczej szkic Henryka Syski na temat czasopiśmiennictwa ludowego jest wartościowym przyczynkiem do dziejów prasy ludowej w Polsce, którego przyszły badacz tych dziejów nie może pominąć.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2.
D—015999